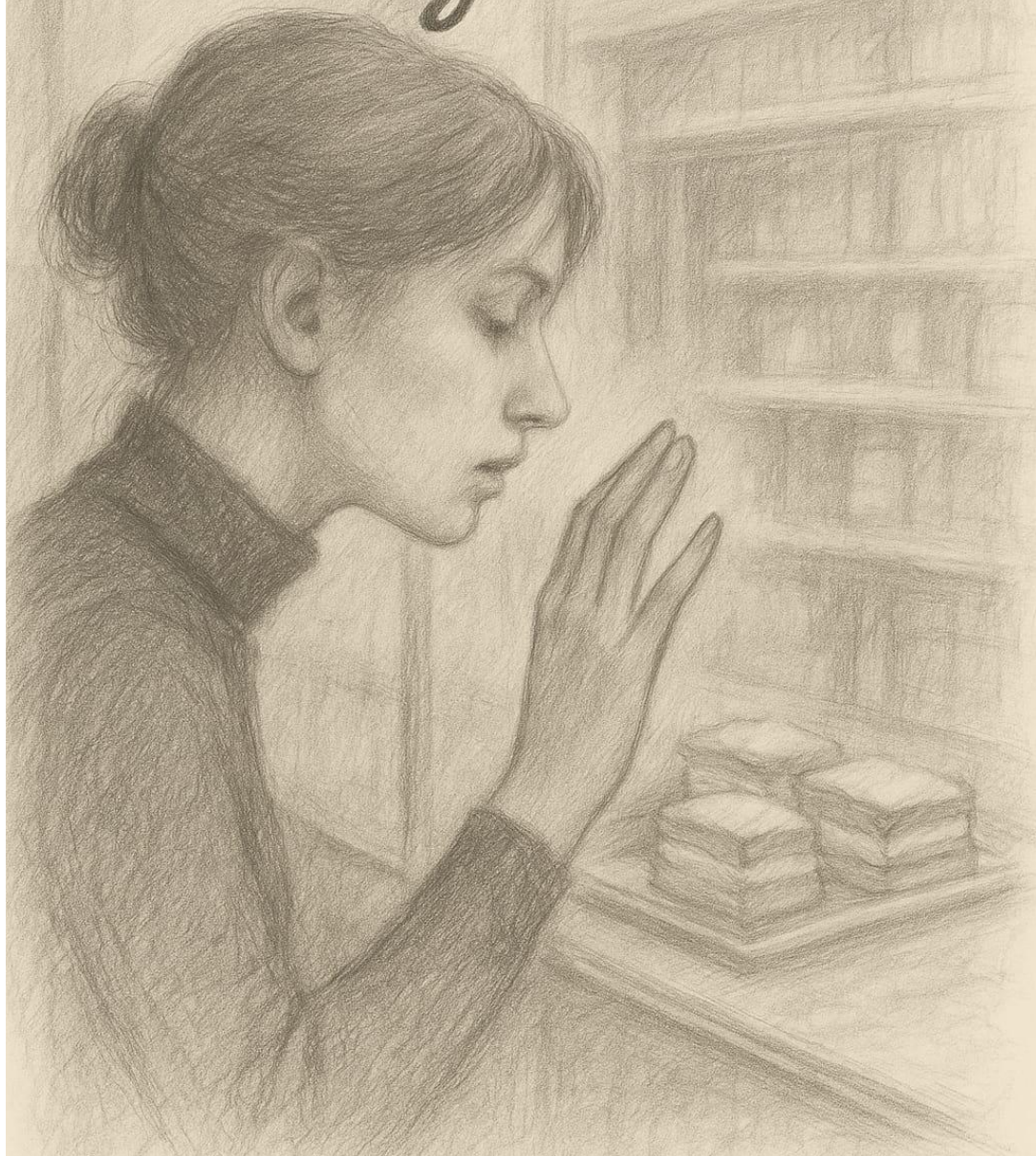


Merylanka



Janusz 'Krawiec' Wiśniewski

MERYLANKA

I znowu dostaniesz po uszach za to, w jaki sposób kogoś opisałeś! Znam w Gdańsku cukiernię, której historię przedstawiłeś z taką drastyczną realnością... - to mój przyjaciel po przeczytaniu maszynopisu „Merylanki”.

Tak, być może, że coś tam, o jakiejś tam gdańskiej cukierni kiedyś, kiedyś - jeszcze zapewne za czasów komuny, mogło mi wpaść do uszu i mogłem gdzieś z zakamarów pamięci coś tam wyszperać. W tamtych odległych czasach i ja, jeszcze młodzian nie wiedzący co począć z wolnym czasem, nierzadko przebywałem w zatłoczonych barach i pijalniach piwa, gdzie przeróżne historie i opowieści przelewały się z pijackich gęb - niczym z kufli spienione piwo.

Najprawdopodobniej „Merylanki” nie byłoby, gdyby nie przyjaźń z Janem, mistrzem cukiernictwa, właścicielem gdyńskich „Delicji”. To tam, u niego, na zapleczu, upajałem się po wielekroć zapachem, smakiem i klimatem pracy w cukierni. - A czy cukierniczą opowiastkę opisałem dość sprawnie, i na tyle ciekawie, że zechcecie przeczytać i przyjąć „Merylanke” życzliwie? - Odpowiedź sami – najpierw kosztując tego „ciastka”.

Jeszcze tylko parę ulic krzyżowało się, zbiegało, tworząc krańcową część miasta, przechodzącą w jego wylot. Potem było przedmieście – ciągle szaro-bure, zaniedbane, z obdrapanymi zabudowaniami, bez jakiegokolwiek architektonicznej koncepcji. Brukowa, od lat nieremontowana jezdnia wyboista, pełna dziur, kałuż po deszczu smętnie żegnała lub witała wjeżdżających do Gdańska. Bywało, że jadący nią kierowcy, zatrzymywali swoje auta w pobliżu narożnej kamienicy, w której od zarania mieściła się cukiernia „Słodkie Niebo”. Łaknących nieba w gębie

2

nie brakowało od jej porannego otwarcia po wieczorne wyciszenie. Także w niedzielę od rana przed cukiernią, ustawiała się tasiemcowa kolejka, w której to, łasuchy na słodkości wyczekiwały niecierpliwie na swoje podejście do lady. W niedzielę, z reguły byli to wierni wracający z mszy z pobliskiego kościoła albo do niego idący. Bardzo często, podczas mszy, kościół pachniał wypiekami ze Słodkiego Nieba. Nieraz, co bardziej łakome dziecko ukradkiem dostawało się swoim nie za czystym paluchem, pod wieko obwiązanego sznurkiem kartonika i usmarowawszy paluch kremem oblizywało go skrycie, ale zachłannie. Tak, „Słodkie Niebo” słynęło na cały Gdańsk ze smaków i jakości swoich wyrobów.

Wystarczyło otworzyć drzwi cukierni i już od progu bił w nasze nozdrza słodki zapach, a oczy nie mogły nasycić się niesamowitymi kolorami - zapewne ukradzionymi tęczą. Artystyczne kształty tortów, ciast i ciasteczek przyprawiały nie jednego kupującego o łakome przetykanie ślinki. Szklana lada jak i półki wokoło, pełne były ciągle ciepłutkich; serników, makowców, jabłeczników, strucli, ciast drożdżowych obsypanych obficie kruszonką, spod której wyglądały śliwkowe, lub wiśniowe powidła. Konkurowały z nimi babki o smaku cytrynowym, kakaowym, w polowie czekoladowej czy oblane lukrem. Babki pękały z dumy, że są aż tak pyszne! A Babki piaskowe – skąd wzięła się ta nazwa? - Czyżby wymyślono je podglądając bawiące się w piaskownicach dzieci? No, a ciastka? Poukładane w rzędy jak kompanie wojska samego Napoleona; wuzetki, eklery, ptysie, napoleonki, bezy... Bezy, rozpływające się po podniebieniu - takie nic a, jak cudownie pyszne było to nic! A bajaderki w kształcie małej babki, „gęstsze, pożywniejsze od innych...” - jak mawiały matki maluchów. Wtajemniczeni - czyli my wszyscy, wiedzieliśmy, że są to resztki, pozostałości z formowania innych ciast - ulepione później w jedno oblane czekoladą, albo obsypane kakao. - Co tam resztki, nie resztki – sami wiecie, że przepyszne! Osobne napoleońskie pułki tworzyły jagodzianki, drożdżówki z kremem, twarogiem lub dżemem. A pączki - opuchłe z pychy, przykryte śniegowym lukrem, ukrywające w swym wnętrzu smakołyk, dla którego tak bardzo ucierpiały róże? A długie rurki z kremem, a ciepłe lody? – kurka wodna jaka pychota!

Niedzielni klienci cukierni byli inni niż ci kupujący w powszednie dni. W powszednie dni do cukierni zaglądały dzieci z przedmieścia. Niezadbane,

poubierane w byle co, umorusane, często z siniakami widocznymi tam, gdzie łaszki nie umiały zasłonić ich ciała. Wodząc po ladzie zachłannymi oczami, zazwyczaj ściskali w garstce jedną monetę, wybierając to jedno najbardziej upragnione ciastko. Pamiętajmy, że w tamtych komuchowatych czasach PRLu, nie każde dziecko mogło sobie pozwolić na kupno ciastka.

Któregoś roku, marcowe, jeszcze słabowite, niemrawe słońce, nawet nie próbowało podjąć walki z olbrzymimi chmurzyskami - czarnymi, groźnymi zapowiadającymi ulewny deszcz. Tylko wiatr, wiatr jeszcze się stawiał i zawzięcie walczył z gęstą zupą chmur. Rwał je, szarpał, wywiewał z miasta. Jednak, i wiatr wiedział, że przegra - bo ciemnym, łachmaniastym chmurzyskom, już szła z odsieczą czarna noc, czająca się nad kominami kamienic Gdańska.

Dochodziła godzina zamknięcia cukierni. W pomieszczeniu sklepowym krzątały się dwie młode dziewczyny w beżowych fartuszkach w czerwone maki i białych toczkach na głowie przytrzymujących niesforne kosmyki włosów. Za ladą, na krześle, przy wysuniętej szufladzie pełnej banknotów i monet, siedziała gruba kobieta z wielgachnym biustem, prawie zasłaniającym dostęp do szuflady pełnej pieniędzy. Kobieta kończyła obliczanie utargu, układając banknoty w stożki zależne od ich nominalnej wartości. Śliniła przy tym od czasu do czasu swoje parówkowate krótkie palce, by rozdzielić niekiedy posklejane, niepostulsze banknoty. Na okrągłej, lśniącej, tłustej twarzy od czasu do czasu a najczęściej wtedy, gdy obok niej rosła kupka o największej wartości nominałów, ukazywał się uśmieszek zadowolenia. Wtedy, jej grube wargi chowały się gdzieś do środka, a na policzkach tworzyły się dołeczki. Cała jej twarz nabierała blasku szczęśliwości.

- Siódma - Zamykajcie, zamykajcie! – Siódma! - powtórzyła kobieta spoglądając jeszcze raz na zegarek.

Jedna z dziewczyn – ta wycierająca podłogę ścierą zamoczoną w wiadrze z czarną, gęstą wodą - podobną do wieczornych chmur na niebie, ociężale zaczęła podnosić się z kolan, gdy otworzyły się drzwi i do cukierni weszła dziewczynka. Miała dwanaście - może czternaście? lat. Czarne jak woda w wiadrze i wieczorne chmury na niebie, jej proste, widać, że dawno nieumyte włosy okalały wychudzoną, podłużną twarzyczkę z zielonymi, dużymi oczami. Ładne miała te

oczy. Jej wążutkie, małe usta strachliwie, jakby nie nadążając za głosem wyszeptały:

- Mogę? mogę jeszcze kupić?

- Co chciałaś dziecko? - Idź po tym suchym, niewymytym. Właścicielka spod grubych, nierównych, rosnących dziko czarnych brwi zatrzymała wzrok na wchodzącej.

- Poproszę jedną napoleonkę – dziewczynka odezwała się trochę głośniejszym głosem stojąc już przy ladzie z monetą w wyciągniętej ręce w kierunku grubej kobiety.

- Już nie ma, sprzedane - Może być pączek.

- Nie, dziękuję. Chciałam napoleonkę - dziewczynka odwróciła się i bacząc, by nie stąpnąć po mokrym zaczęła wychodzić.

- Masz, daj jej pączka za darmo, bez pieniędzy – łaskawie przerywając liczenie banknotów szefowa sięgnęła pod szkło lady.

Myjąc podłogę wzięła od szefowej mokrą ręką ciastko i przytrzymując już zamknięte przez dziewczynkę drzwi krzyknęła:

- Hej! Masz, masz pączka za darmo.

Dziewczynka tylko pokręciła głową i nie zatrzymując się, pobiegła na drugą stronę ulicy.

- Nie chciała...

- Ty zjedz – burknęła szefowa.

Dziewczyna wytarła o fartuch rękę i zaczęła nadgryzać pączka.

- Ty też sobie weź jednego – dodała teraz łaskawiej, do drugiej wycierającej do połysku szklaną ladę.

- Co za krnąbrna dziewczucha – nie mogąc przejść do porządku dziennego nad tym co tu przed chwilą się wydarzyło, ciągle nie przerywając liczenia, gruba kobieta mówiła dalej, trochę do dziewczyn, trochę do siebie:

- To już któryś raz częstowałam ją ciastkiem za darmo i nie wzięła. Przychodzi przed zamknięciem i kupuje jedną napoleonkę. Raz zauważyłam, jak wypadło jej na podłogę dziesięć groszy. Szukała, szukała - nie znalazła i wiecie, że wyszła? Nie poprosiła o ciastko, a przecież mogła poprosić. Dałabym jej bez tych dziesięciu groszy, ale nie, nie poprosiła. Do dzisiaj widzę, gdzie te dziesięć groszy

leży! Tak sprzątajcie niestaránnie! Macie zaćmę na oczach! I pośpieszcie się z tym sprzątaniem – zamykamy! – dodała szybko, czując, że się niepotrzebnie rozgadała.

– Pozamykać mi tu dobrze. Zasunąć kratę. Pogasić światła! – kobieta swoje rozkazy brudziła akcentem zapewne w przeszłości nabytym z języka niemieckiego. W końcu, z kartonowym pudełkiem na ciastka pod pachą, teraz pełnym pieniędzy udała się w kierunku drzwi prowadzących na zaplecze.

Cukiernia Słodkie Niebo już od niepamiętnych czasów, mieściła się w starej kamienicy na przedmieściu Gdańska. Pierwszym jej właścicielem był niemiecki cukiernik, do którego swojego syna na naukę zawodu, przyprowadził z niedalekiej kaszubskiej wsi kaszubski chłop. Za wyuczenie zawodu, ojciec w rozliczeniu był zobowiązany dostarczać niemieckiemu mistrzowi cukiernictwa produkty potrzebne w cukierni; Jaja, masło, śmietana, mleko, mąka... – wszystko to jeździło regularnie ze wsi do miasta, w zamian, za co w rozliczeniu, wiejski chłopak nie tylko uczył się fachu, ale i przy niemieckiej rodzinie nabywając miejskich, niemieckich manier odchamiał się – jak często określało szefostwo przyjęcie młodego Kaszuby na naukę zawodu do niemieckiej cukierni. Kończąc niemiecką szkołę zawodową, a później liceum dla pracujących, po zdanych najpierw egzaminach czeladniczych, a po pewnym czasie mistrzowskich, ten początkowo nieokrzesany kaszubski chłopak, stawał się coraz bardziej wartościowym pracownikiem cukierni. Starszy, schorowany niemiecki właściciel, niemający dziedzica, powoli zaczynał dostrzegać w młodym, pracowitym Kaszubie coraz skuteczniej przerabianym na „prawdziwego Niemca” - swojego następcę jak i... odpowiednią partię dla nie za urodziwej i od urodzenia otyłej córki.

Ślub odbył się na początku wojny i pomógł Kaszubo-Niemcowi przetrwać jej pierwsze lata, aż do momentu wejścia Rosjan do Gdańska. Wtedy wydarzyła się tragedia. Ruski żołdak, bez skrupułów zastrzelił właścicielkę i biegnącego jej na pomoc męża rabując pieniądze z kasy i biżuterię z ich palców. Tak więc, Kaszubo-Niemiec Klemens Klamke wraz z niemiecką żoną o imieniu Agnes wraz z końcem wojny coraz bardziej przekształcali się na Polaków – by zostać dalej samodzielnymi właścicielami cukierni już w tylko polskim, powojennym Gdańsku. W prawie

doszczętnie zrujnowanym mieście, zarówno kamienica, jak i znajdujące się w podwórzu mające wysoki komin zaplecze piekarni o dziwo, jakimś cudem ostały się prawie nietknięte. Jedynie szyld „Su Bes Paradies - Otto Bajer” zamieniono na „Słodkie Niebo - Klemens Klamke”.

Cukiernia po wojnie, prosperowała nie gorzej niż za dawnych niemieckich czasów. Również małżeństwo polskiego Kaszuby z córką niemieckiego właściciela cukierni, układało się nie najgorzej - nie najgorzej, ale... Nad wyraz monotennie. Ich życie, w zasadzie podporządkowane było tylko prowadzeniu cukierni. Małżonkowie nie mieli dzieci. Niemiecka żona Klemensa wraz z upływającym czasem niestety, jeszcze bardziej przybierała na wadze. Tyła, rosła w oczach – niczym przygotowane do wypieku drożdżowe ciasto i chciał nie chciał, stawała się coraz bardziej ociężała i ciągle przemęczona.

Bywało jednak, że Agnes (coraz częściej Agnieszkę) opromieniały sekundy szczęśliwego zadowolenia – a może i rozkoszy? Stawało się tak, z reguły właśnie wtedy, gdy Agnes liczyła pieniądze z całodniowego utargu.

Klemens z kolei, promieniał szczęściem zazwyczaj na zapleczu piekarni w momentach, gdy uplatane z ciestnych warkoczy (o strukturze i recepturze znanej tylko jemu, zachowanej jeszcze po teściu) pachnące, błyszczące kolorem złota chałki, lub inne najprzeróżniejsze wypieki, dzięki jego mistrzostwu stawały się najsmaczniejsze na świecie. Tak, to prawda, tak było. Fama najlepszej cukierni roznosiła się poza roгатki Gdańska. Po wyjątkowy smak ciast i tortów zjeżdżali do Słodkiego Nieba smakosze z całego Trójmiasta.

Ściśnięte ramami podwórka nie za wielkie zaplecze nie pozwalało na szerszy rozwój, ale Klemens nigdy nie myślał o powiększaniu. Wystarczała mu taka cukiernia, jaką przejął po teściu. I, tak jak teść, niemiecki przedwojenny właściciel, Klemens przede wszystkim bazował na pracy uczniów, którzy stopniowo, po czasie, stawali się wykwalifikowanymi czeladnikami. Niektórzy z nich zdawali nawet egzaminy mistrzowskie. Niestety, dosyć szybko potem, upominało się o nich wojsko. Chciał nie chciał robili wtedy miejsce innym. W cukierni zawsze panowała, nabyta jeszcze po teściu niemiecka dyscyplina i ład. Cała produkcja odbywała się na dwie zmiany, tak, że ośmioro, a nieraz i więcej pracowników, uwijało się na

zapleczu w dzień i w nocy. Klemens też ciężko harował. Sypiając po cztery godziny na dobę, nieraz dziwił się samemu sobie - skąd bierze ciągle tyle energii i witalnej siły.

Klamkowie ciągle nie mieli dzieci. A w ogóle, ich pożycie seksualne było jakieś... takie nijakie. Agnes wiedziała tylko, że powinna męża obsługiwać, zaspakajać jego potrzeby, „dawać mu”. Widziała, że jest to jej małżeński obowiązek, że musi, że wymaga tego niemiecki *ordnung!* - I, tak też było, nie tylko ona, ale i jej pochwa jakoś tak nie czuły bluesa, więc było nijak. Na początku ich małżeństwa Klemens jeszcze próbował, kombinował, namawiał Agnes na „różnie” – pokazując jej, nawet nie wiedzieć skąd zdobyte świńskie obrazki. Liczył, że w ten sposób nakłoni małżonkę, żeby i ona...

– No, tak jak na obrazku... No, weź, weź do buzi... - namawiał, prosił, ale, widząc jej przestraszone oczy... Podniecenie uchodziło z Klemensa niczym powietrze z dziurawego balonika. Potem, już zajęty formowaniem ciast na produkcji, przywoływał nieraz w pamięci podobne momenty i, uśmiechał się sam do siebie pod nosem. Przypominały mu się wybałuszone oczy żony trzymającej w ustach jego nabrzmiałego członka i jej niewyraźne wyseplenienie:

- A... a, szacunku do mnie nie stracisz?

Nic dziwnego, że z biegiem upływających lat, ich pożycie zaczęło w ogóle zanikać. Czasami, w nocy, Klemens sapał, stękał, oddychał szybko, coraz szybciej, a jego ręka pod kołdrą przypominała ruchy podobne do ubijania białka. - W końcu wołał to, niż seks z żoną. W ciągu trwania małżeństwa, Agnes nigdy w żaden sposób, nie okazała mężowi, że jego seksualne starania sprawiły jej jakąkolwiek przyjemność, a nie daj boże radość. Po tylu latach małżeństwa Klemens nawet nie był pewien, czy Agnes kiedykolwiek, chociaż z raz miała orgazm. Niekiedy winił za to siebie – obwinał się, że to on mężczyzna, nie umie rozpalić, zaspokoić żony, więc, ponownie próbował różnych sztuczek, ale na nic to się zdawało. Tak widocznie być musi! Trzeba się z takim życiem pogodzić! – wmawiał sobie. Dochodził do pięćdziesiątki. Utył, wyłysiał. Twarz coraz bardziej upodabniała mu się do zagniatanego, wyrabianego na chałki ciasta. - Tylko oczy, oczy schowane za szklami okularów, jeszcze się nie poddawały, jeszcze próbowały od czasu do czasu,

łapczywiej zerkać na wchodzące do cukierni młode dziewczynki. Fascynowały go ich dopiero co rozwijające się piersi, wąskie talie... – Oczy Klemensa chciały jeszcze czegoś więcej od życia.

Monotonne, identycznie podobne do siebie dni, biegły po sobie - podobnie do sprzedawanych w cukierni ciastek. Uczniowie kończyli terminy nauki, czeladnicy jak zwykle zdawali egzaminy by, za chwilę wyszarpięto ich do wojska. W ich miejsce przychodzili następni. Od czasu do czasu wstrząsał cukiernią wymyślony przez Klemensa nowy rodzaj albo gatunek wytworzonych ciast, ciastek, lub tortów - i wtedy, mistrz Klemens przeżywał, kipiał dumą na całą cukiernię. Od dawna, oprócz niemieckiego, mistrzowskiego dyplomu poprzedniego właściciela, wisiły na ścianach w bogato inkrustowanych ramach dyplomy, wyróżnienia i pochwały, a nawet od niedawna, duże, złote ramy zamykały dyplom z odbywającego się w Warszawie konkursu cukierniczego:

„Za zajęcie drugiego miejsca w Ogólnopolskim Konkursie na Tort Weselny - Dla Mistrza cukiernictwa Klemensa Klamke z Cukierni Słodkie Niebo w Gdańsku”.

W tym czasie, Klemens zatrudniał u siebie niesamowicie utalentowanego plastycznie ucznia. Tak, kompozycje weselnych tortów Gerarda Szwarca, zadziwiała wszystkich. Gerard podobnie, jak kiedyś Klemens u swojego szefa Niemca, był jego prawą ręką.

- Niestety, po czterech latach nauki, po zdanym egzaminie czeladniczym i jeszcze niedokończonym dwuletnim stażu - o Gerarda, tak jak i zwykle o innych czeladników z cukierni, upomniata się armia.

Przed wojną, kamienica, w której mieściła się cukiernia, cała należała do rodziców Agnes. Po wojnie, niestety, na trzech piętrach zagnieździli się niczym szerszenie – obcy ludzie - Obywatele Polski Ludowej. Z całej kamienicy Klemens z żoną ledwie uratowali dla siebie dwa pokoje na pierwszym piętrze, które na szczęście po wielkich staraniach pozwolono im oddzielić osobnym wejściem. W jednym z tych pomieszczeń, w tym dużym, po generalnym remoncie Klamkowie urządzili sobie łazienkę, kuchnię i wydzielili stołowy. W drugim urządzili sypialnię. Oba pokoje były niemiłosiernie zagracone zgromadzonymi meblami z całej kamienicy - jeszcze z czasów sprzed wojny. Klemens z żoną nie umieli, nie mieli po

prostu serca, by pozbyć się takich skarbów! A poza tym, cukierniczy interes szedł tak dobrze, że oboje wiedzieli, że prędzej czy później, wybudują własny dom, willę – a wtedy te meble...

Mijały lata, otyłą ponad stan Agnes zaczęły nękać coraz to poważniejsze - jak to ona sama lubiła nazywać „choróbska”. Oprócz wyniszczającej cukrzycy, ociężałego ciała nie mogło też udźwignąć nadwyrężane coraz bardziej serce.

Agnes już drugi tydzień nie pokazywała się na dole w sklepie. Nie wstawiała z łóżka.

W niedzielę, Klemens musiał zostać sam w cukierni. Żenił się jeden z jego starszych (już czeladnik) pracowników. Na wesele, na kaszubską wieś, zostali zaproszeni wszyscy pracujący z cukierni. Szef ze względu na chorą żonę - a może i bardziej ze względu na możliwość utraty dużego niedzielnego utargu, na wesele mimo nalegania pary młodej, nie pojechał.

Ubrany w biały fartuch, Klemens uwija się od rana nie tylko na zapleczu, ale i za ladą. Niedzielny utarg jak zwykle jest duży. Przychodzi chwila zamknięcia cukierni. Klemens czuje znużenie, ale jego wszytkowidzące oczy szefa mimo zmęczenia, dostrzegają zabrudzoną, zdeptaną podłogę. Przemagając zmęczenie, już chce pójść na zaplecze po ścięgę i wiadro, gdy...

Otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna. Miała lat... „Wyglądała może na piętnaście, może siedemnaście - chyba nie więcej...” - Klemens przygląda się dziewczynie w myślach próbując oszacować jej wiek. Czarne proste włosy okalają podłużną twarz. Wysokie czoło, mały nosek, wąskie usta i duże, zielone oczy... - teraz rozbiegane jakby bezwiednie, jakby bezwolnie, po kolorowych tortach i ciastkach. Oczy najwyraźniej nieumiejące ukryć łakomstwa.

Gdyby za ladą stała szefowa Agnes, z pewnością poznałaby tę dziewczynę – tę krnąbrną dziewuchę przychodzącą od lat do cukierni, z reguły przed zamknięciem po jedną napoleonkę. Teraz dziewczyna już pewniej, swobodniej niż przed laty, stojąc przy samej ladzie zażądała:

- Trzy napoleonki proszę.

Klemens nie reagując na prośbę, patrzy na dziewczynę przez dłuższą chwilę, przygląda się przenikliwie oczami spod czoła, znad okularów: „Jest byle jak

ubrana... chuda... nie za ładna... Ale, te zielone oczy..." – myśli w głowie Klemensa krążą niczym wirujące w mieszalniczej maszynie ciasto na smakowite chałki. Przed nim stoi czarnowłosa dziewczynka w równie czarnym, wyciągniętym golfiku, który luźno okala jej kibić, aż po chudą, długą szyję. Pod golfikiem, w miejscu, gdzie kobiety zwykle chępią się swoimi krągłościami, ledwie uwidaczniają się małe wypukłości. Wąskie, kościste ramiona, chude ręce, nadgarstki i długie palce, teraz szperające w plastikowej portmonetce, szukające zawzięcia... Klemens już wie, jest przekonany, że... pod tym golfikiem nie ma stanika.

- Nie, poproszę jedną napoleonkę, jedną! – dziewczyna prawie wykrzyknęła
- a potem, dodała ciszej jakby sama do siebie: Chyba braciszek mi... - Oj, dostaniesz wpięprz Marcin.

Z Klemensem zaczęło się coś dziać. Twarz mu spurpurowiała, nawet kark poczerwieniał bardziej niż zwykle. Poczuł gorąc mieszającą się z żądzą. Machinalnie wyjął spod lady kartonik i łopatką i, jak automat zaczął nakładać ciastka; jedną napoleonkę, drugą, trzecią...

- Jedną! – zaprotestowała dziewczyna wiedząc, że z portmonetki zniknęły pieniądze.

- Już zamykam - zostały... Zostały jeszcze też bajaderki - chcesz? Chce pani? – wkładał, do kartonu jedno ciastko po drugim, nie czekając na odpowiedź. – Weź! Niech pani weźmie – Klemens trzymał kartonik nad ladą, ale dziewczyna nie wyciągnęła po niego ręki.

- Nie, nie, dziękuję, bez pieniędzy nie mogę.

- Dzisiaj zostałem tu sam, nie daję sobie rady. W zamian... Czy, mogłabyś... Mogłaby mi pani pomóc? - No, posprzątać. Niema ekspedientek, nikogo. - Dam ciastka – patrząc na dziewczynę stojącą bez ruchu z otwartymi ze zdziwienia ustami szybko dodał – i zapłacę!

Na dużych zielonych oczach dziewczyny dopiero po chwili zaczęły trzepotać powieki okolone czarnymi długimi rzęsami.

- Co mam zrobić? - wydukała w końcu.

- Zawsze dziewczyny zmywają podłogę, ale wystarczyłoby gdybyś, gdyby pani zamiotła, przetręła...

- Nie, mogę, mogę zmyć. Mogę sprzątnąć dokładnie. Gdzie ścierka, wiadro, miotła?

Klemens nim odpowiedział, szybko podszedł do wejściowych drzwi cukierni, opuścił kraty i przekręcił klucz. – Zamkniemy, żeby już nikt nie wchodził. – Wszystko jest na zapleczu – chodź, pokażę... pani, nabierzemy wody... Ciągłe zmieszany, nie mógł zdecydować się na formę, w jakiej ma zwracać się do dziewczyny. W końcu podniósł odchylaną część lady i przechylił się tak, by przepuścić dziewczynę. Ta przechodząc, otarła się o jego wystający brzuch. Ręka unosząca blat zadrżała, Klemens już czuł, czuł podniecenie.

- Zawsze sprzątaj dziewczęta, ekspedientki. Dzisiaj nie ma tu nikogo. Dałem wszystkim wolne do poniedziałku.

- Lubię zapach cukierni, zapach napoleonek... – powiedziała nieśmiało dziewczyna idąc za Klemensem.

- Smak, najbardziej smak je wyróżnia. Specyficzny smak budyniowego kremu – próbował sprostować Klemens.

- Nie, zapach też, jest taki wyjątkowy, gęsty jak budyń, aksamitny... Zauważył, jak dziewczynie poruszyły się nozdrza w momencie, gdy mówiła o kremie. - Odczuwa, czuje zapachy tak jak ja... - niesamowite!

Znaleźli się w pomieszczeniu socjalnym, z szerokim jadalnianym stołem, nakrytym ceratą w niebieską kratkę. Stół po bokach prawie dotykały drewniane proste ławy. Na ściennym wieszaku wisały fartuchy w namalowane maki. Klemens spostrzegł, że dziewczyna na niego spojrzała.

- Chcesz założyć fartuch? – załóż, załóż.

- Tak, założę - spódniczka przeszkadzałyby mi w sprzątaniu.

Klemens dopiero teraz zdał sobie sprawę, że do tej pory zza lady patrzył tylko na górną połowę dziewczyny, a w szczególności na jej twarz. Teraz, spoglądając w dół, spostrzegł, że pod obcisłą granatową spódniczką kryją się rozrośnięte biodra i dosyć masywne uda.

Zdziwiło go to, czy... - jeszcze bardziej podnieciło?

Dziewczyna obróciwszy się do niego tyłem, sprytnie, szybko zdjęła golfik i sięgnęła po fartuch. Jeszcze dobrze nie zapięła fartucha - a już opuściła w dół spódniczkę i

zręcznie nogą podrzucając ją sobie ku górze, złapała ją w powietrzu, i szybko powiesiła na haku w miejsce fartucha. Uśmiechnęli się do siebie.

Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka, ale... Klemensowi nie uszły uwadze w cielistym kolorze majtki dziewczyny.

W przyległym, gospodarczym pomieszczeniu, w kącie, nieopodal zamkniętej metalowej szafy, pod szerokim, żeliwnym zlewem, stało wiadro przykryte suchą, sztywną, szaroburą ścierą. Klemens podał ścierkę dziewczynie i samemu zaczął nalewać wodę do wiadra.

- Leci na razie zimna...

- Nie szkodzi. W domu też zmywam często podłogę zimną.

- Gdzie mieszkasz? Jak masz na imię? Ile masz lat? – wszystkich tych odpowiedzi był ciekaw jak najszybciej, natychmiast – niczym przesłuchujący na komendzie milicjant.

Ona zamiast odpowiedzieć tylko uśmiechała się tak jakoś zakłopotanie, niepewnie i nie odpowiadała.

- Co, nie powiesz? Nie chcesz powiedzieć, ile masz lat? – przynaglał.

- Nie... Nie wiem, czemu chciałam skłamać z imieniem, z latami i w ogóle - ale, powiem, powiem wszystko: mieszkam na Oruni, to dzielnica...

- Wiem, wiem, znam tę dzielnicę dobrze - przerwał szybko Klemens ciekaw innych odpowiedzi.

- Chodzę do Odzieżówki, do tech... - do zawodówki, kończę...

- To, ile masz lat? Jak masz na imię? – znowu śpieszyło się Klemensowi.

- Siedemnaście skończyłam w zeszłym tygodniu. Już teraz mam osiemnaście – dorzuciła, jakby wyczuwając, że tak będzie lepiej dla nich obojga.

Trzymała w ręku ścierę i ryżową szczotę na długim kiju. On wiadro już pełne wody. Na powrót znaleźli się w części sklepowej. Klemens postawił wiadro na środku posadzki. Dziewczyna zamoczyła twardawą ciągle ścierę i sprawnymi ruchami sprzątaczkii - jakby to robiła od zawsze – lekko wykręcając, obwinęła ścierą ryżową szczotę i z wprawą, zaczęła zmywać zabrudzoną posadzkę. Klemens w tym czasie wrócił za ladę i spod dużej szklanej szyby przekładał na cukierniczą blachę,

niesprzedane ciasta i torty. Oboje pracowali intensywnie. Dziewczyna całkowicie była pochłonięta myciem podłogi.

- To jak masz na imię?

- Maryła, Maryśka – poprawiła się szybko.

Klemens niby zajęty swoimi czynnościami spozierał, co chwilę na zwinnie uwijającą się dziewczynę.

- Naprawdę skończyłaś siedemnaście lat? – nie wiedząc czemu, ponownie upewnił się.

- Tak, naprawdę, w tym roku kończę zawodówkę.

Maryśka przestała wycierać podłogę i trzymając się trzonka szczotki, oparła brodę o wierzch dłoni. Spod opadających kosmyków czarnych włosów, spojrzała na Klemensa powłóczyście, oczami pełnymi iskierk odbijających się od umieszczonego przy suficie dużego, jarzącego blaskiem żyrandola.

Klemensa przeszły ciarki - ale piękna! Jeszcze bardziej krew uderzyła mu do głowy, gdy dziewczyna ponownie obdarzyła go uśmiechem - zdało mu się, że zawadiackim, prowokującym - obiecującym? - po czym, ponownie wzięła się za mycie podłogi.

- Powinnam zmienić wodę. Już uniosła wiadro, ale Klemens podbiegł i delikatnie wyjął uchwyt z jej ręki, i poszedł z wiadrem na zaplecze.

W tym czasie Maryśka już drugi raz przecierała podłogę wykręconą ściągą założoną na szczotkę. Wrócił z czystą, ciepłą wodą w wiadrze. Dziewczyna ponownie zamoczyła i wykręciła ścięgę. Potem na kolanach wsunęła się pod stół - tam, gdzie nie mogła dostać się szczotą, i sumiennie na klęczkach próbowała dotrzeć do zakątków podłogi. Klemens patrzył na jej wygięty grzbiet, na przeszkadzające jej włosy, które co chwilę starała się zdmuchiwać z oczu. Spod nie do końca zapiętego fartucha dostrzegł majtki w kolorze bliskim jej ciała. Już, już w myślach dotykał krągłości jej pośladków pod fartuchem, już był myślami...

- Chyba skończyłam... – rozglądając się po mokrych jeszcze kątach podłogi, Maryśka wyprostowała się tak, jakby chciała przywołać na miejsce wszystkie swoje mięśnie. Znowu podbiegł. Wziął od niej wiadro, teraz pełne mętnej, brudnej wody.

- Chodź.

Oboje poszli na zaplecze. Po chwili znowu znaleźli się w pomieszczeniu socjalnym. Dziewczyna sięgnęła po spódniczkę i założyła ją zaciągając z trudem zamek. Potem usiadła na ławce przeciągając się, prostując wypięła do przodu piersiątko wychodzące z rozpiętego już fartucha. Jej nogi jakby mimowolnie rozchyliły się na tyle na ile pozwoliła spódniczka.

Klemens nie mógł już się opanować, spoglądał na dziewczynę tak pożądliwie, że aż ona zauważyła, jak zaczął bezwiednie oblizywać wargi.

- Co, zmęczyłaś się? Nie jesteś przywykła do takiej pracy? Wiem, wiem - dodał szybko, by mu nie zdążyła zaprzeczyć – takie ładne dziewczyny nie są stworzone do ciężkiej pracy...

- Nie. Ja potrafię pracować! – powiedziała pewnie Maryśka - To dla mnie nie nowina, często sprzątam – dodała jakby przenosząc się na tę chwilę myślami do swoich częstych obowiązków. Potem szybko wstała z ławki, odwróciła się na pięcie i stojąc do niego tyłem, ponownie sprytnymi szybkimi ruchami, zdjęła fartuch i założyła czarny golfik.

„Tak, była bez stanika!” - nie mylił się!

- Nie. Takie piękne kobiety stworzone są do zupełnie innego życia... – Klemens powiedział to ciszej, jakby tylko do siebie. – Chodź, coś ci pokażę – ścisnął już małą dłoń dziewczyny w swoim ręku. Pokażę ci cały mój zakład, całą produkcję – chcesz? Szli razem długim korytarzem, nim Klemens otworzył pierwsze drzwi i zapalił światło. Długie jarzeniówki w surowych, metalowych oprawach, wiszące przy suficie na łańcuchach, przez moment zapalały się i gasły, migając po wielokroć. W końcu, błysnęły swoją mleczną jasnością, oświetlając pomieszczenie z czekającymi stanowiskami pracy.

- To jest deserownia - tu odbywa się cała produkcja. Tu moi artyści - mam dwóch takich - kroją, formują, ozdobią torty i ciasta. Był jeszcze i trzeci – Gerard. Ten był najlepszy, ale zabrali mi go do wojska. A tu są mieszalnie... Tu powstają wszelakie smakowe konsystencje, właśnie tu, tworzymy różnego rodzaju ciasta, masy, kremy... O, choćby na przykład ten twój ulubiony krem napoleonkowy... – fachowo edukował dziewczynę Klemens. – „Co ja czynię? Chcę tej dopiero co poznanej gówniarze, zaimponować? Próbuję przed nią błyszczeć?” – w duchu,

dziwił się sobie, pragnąc, choć trochę uspokoić wewnętrzne wrzenie. Próbował, ale szybko zbagatelizował tę myśl i dalej przechwalając się swoim życiowym dorobkiem, oprowadzał Maryskę.

- Tu, w tym kotle, wysmażamy pączki. A tu... – przeszli do największego pomieszczenia – tu są piece mojej konstrukcji. - Najlepsze! Nikt nie ma takich! - Moja chluba! Otworzył ogromne, ciężkie, metalowe, podwójne wrota pieców, ukazujące otchłań zawsze buchającą żarem. Zawsze, ale nie dzisiaj - dzisiaj takim nieopanowanym żarem buchał sam Klemens.

- A tu - do tego pomieszczenia tylko ja mam klucze... Klemens chwilę grzebie w kieszeniach fartucha, w końcu wyjmuje pęk kluczy. Jednym z nich otwiera drzwi i znowu przekręca świetlny kontakt. U samego sufitu znowu rozbłyskują podobne do poprzednich jarzeniowe, podłużne świetlówki ukazując pomieszczenie magazynowe, w którym na drewnianych podestach stoją metalowe skrzynie przykryte ciężkimi drewnianymi wiekami, pod którymi kryły się dziesiątki kilogramów mąki i cukru. Przyścienne półki, zapełniał warsztatowy sprzęt; kociołki, garnki, misy, naczynia... Nieopodal, różnej wielkości regały na kółkach pełne były czystych, czekających na nową produkcję blach. Pod jedną ze ścian trzy ogromne enerdowskie lodówki grały swoimi rozgrzanymi agregatami - każda sobie, swoją melodię.

Klemens podszedł do pierwszej lodówki, otwiera... – Oczom Maryski ukazują się spiętrzone jedne na drugich, wyłoczki pełne jaj. Na innej półce, Maryska dostrzega kafle masła, margaryny, twarogów...

– Klemens przechodzi do drugiej; O tu, zobacz, w tych butlach, bańkach, pojemnikach - to olej, oliwa, ale i mleko, śmietana... - chwali się, chwali czekającym na produkcję bogactwem Klemens. Maryska, cały czas kręcąc głową aż cmoka z zachwytu - nie może nadziwić się takiemu bogactwu.

Trzecia lodówka, którą otworzył Klemens, kryła w sobie w przeróżnych stojach, stoikach, butlach i innych opakowaniach, oklejonych kolorowymi etykietami: bakalie, owoce w zalewach... Dół lodówki wypełniały pojemniki kremowych mas pozostałych z sobotniej produkcji.

- O! Zobacz. Tu w tym pojemniku jest właśnie krem do napoleonek - Klemens wyjął plastikowy, podłużny pojemnik i postawił go na stole stojącym przy oknie. - Krem został z wczorajszej produkcji - czasem tak się zdarza... - mówiąc, Klemens sprawnie nabrał na palec mazistej masy i szybkim ruchem ubrudził nim usta dziewczynie. Maryśka wyciągając śmiesznie język, zaczęła oblizywać krem z warg, z zabrudzonego przypadkiem nosa - pomagała sobie przy tym palcami, oblizując je apetycznie. Zaśmiewali się oboje.

- A tu, no, chodź zobacz tu... - otworzył małym kluczykiem drzwi metalowej dużej szafy. Pierwsze, co się rzuciło w oczy Maryśce to duża bańka – „zapewne pełna mleka?” - ledwie dziewczyna sobie tak pomyślała - już Klemens jakby odgadując pytanie zaprzeczył: Tu w tych dużych bańkach jest spirytus. Potrzebujemy duże jego ilości do produkcji prawie wszystkich ciast, a szczególnie tortów. – Sprawnie otworzył wieko jednej z baniek – w powietrze uniosła się mocna, bijąca w nozdrza, alkoholowa woń. Zakrył bańkę. - A tu, tu spojrzysz - królestwo prosto z Baltony.

Szeroko otwartym z wrażenia, oczom dziewczyny, ukazały się półki wypełnione butelkami; koniaków, rumów, dzinów, wermutów... Likierami o zagranicznych nazwach, Maryśka patrząc na to wszystko, składając literę do litery, próbowała odczytywać nazwy na etykietach o przeróżnych kształtnych butelek: Amaretto, Kahlua, Sheridans... Dalej stały rumy: Senioritta, Jamajka, Kubański... - Nie, Maryśka nie nadążała z rozczytywaniem etykiet - to wszystko już wirowało jej przed oczami. Z szafy uderzały też zapachy czekolady, miodu, kakao, kawy, laski waniliowej, cynamonu, migdałów, orzechów, brzoskwiń, suszonych śliwek... Wszystkie te zapachy zlewały się w jeden i drażniły, drażniły wyjątkowo czułe powonne zmysły Maryśki. Dziewczyna nie mogła nadziwić się, patrząc na kolorowe butelki, na słoje o przeróżnych kształtach, na metalowe pudełka, na całe, całe to bogactwo, niespotykanych zapachów i smaków.

- Lubisz Ajerkoniak? – zachęcająco zapytał Klemens sięgając po butelkę i dwie obłe szklaneczki. Potrzęsnał fachowo butelką, odkręcił zakrętkę i napełnił obie szklanki żółtym, ciężkim, płynem. - Wszystko to jest z Baltony - zagraniczne! -

jeszcze raz dumnie pochwalił się, podając jedną ze szklaneczek dziewczynie – spróbuj, spróbuj...

Maryśka przechylając szklaneczkę powoli rozprowadzała w buzi gęstą jajeczno-alkoholową maź - tak smakowitą, że aż językiem zaczęła wylizywać resztki. Mlaskając przy tym i oblizując wargi dodała:

– Tak, przypominam teraz sobie, że jak byłam mała... Pamiętam, że raz tato dał mi wylizać kieliszek z czymś takim. I, kiedyś... później, jeszcze ksiądz Mikołaj... - mówiła już ciszej, jakby zdając sobie sprawę, że niepotrzebnie o tym wspomina. Tak, piłam już ajerkoniak, bardzo mi wtedy smakował – skończyła już pewniej i głośniej.

- A takiego likieru próbowałaś? - Klemens z dumą otwierał, co rusz to inną, kolorowo oklejoną etykietami butelkę z likierem. - A takiego? A tego? – nalewał, nalewał odkręcając jedną butelkę po drugiej – gęste płyny o smakach i zapachach, od których Maryśce już, już zaczęło szumieć w głowie, ale coraz bardziej była zachwycona tym wszystkim co się tu działo. - Zaśmiewała się, chichotała, chichotała coraz głośniej, zlizując zebrane palcem z kieliszka resztki likierów. Zlizywała, oblizywała palec z takim apetytem, smakiem i, jakoś tak... dwuznacznie?

Zaśmiewali się, pękali ze śmiechu oboje. Ona nieopanowanie głośno, już na całą cukiernię - widząc, jak on, właściciel, przecież poważny gość, stara się jak dziecko, dostać językiem, palcem do dna swojej szklaneczki. Rozochociona i już pijana Maryśka, nagle umyślnie podbija Klemensowi rękę z kieliszkiem. Lepki alkohol rozlewa się, paćka twarz Klemensa, spływa po brodzie na koszulę, spodnie...

- Ha, ha, ha! - Nos, broda, nawet uszy popaćkane likierem - ha, ha, ha. - Daj... panu wytrze - nie, zliżę. – Maryśka rozpina Klemensowi koszulę, potem odpina pasek, spodnie... Rozbawiona, rozradowana zamiast wycierać - coraz bardziej brudzi, smaruje Klemensa wyjętą z lodówki czekoladową masą, budyniową masą. Z butelki oblewa żółtym ajerkoniakiem wyliniały tors, sutki – dwa rodzyнки! Słodkie rodzyнки... - wyszeptuje już liżąc sutki językiem. – Ha, ha, ha... - Sutki – rodzyнки!

Ha, ha, ha... - oboje zaśmiewają się do rozpuku. Maryśka poczyną sobie coraz śmielej, – ale ubaw! Ale zabawa! Ha, ha, ha...

- A on, stary facet, szef, właściciel cukierni - na to wszystko się godzi, pozwala?

Maryśka już jest od dawna bez czarnego golfiku, bez spódniczki, bez cielistych majtek... Upačkana, utaplana napoleonkowym kremem, czekoladowym likierem, malinowym syropem - aż się klei. Klei do Klemensa... Klemens jest w niebo wzięty, swoimi grubymi wargami ledwie odnajduje w tej mazi sutki dziewczyny... – Odnalazł, są czekoladowe, migdałowe, kajmakowe... Cipka! Cipka Maryśki pachnie likierem Amaretto? Klemens zachłannie nasycą się, nasycą zapachami, smakami, dziewczęcą młodością, płochością...

Płochością?

Maryśka już od dawna nie umie powstrzymać się od tak intrygującej, fascynującej zabawy, od takiego niesamowitego ubawu! Zanurza całe ręce w najsmaczniejszym na świecie napoleonkowym kremie i znowu rozmazuje go po torsie Klemensa, po brzuchu, podbrzuszu, z którego już wystaje czekoladowy... ha, ha, ha - czekoladowy! - śmieją się, chichoczą oboje do rozpuku - nie przerywając cudownej, cudownej zabawy. Nieprzytomnie oblewają się, oblepiają wszystkim, co znajdują pod ręką - ha, ha, ha...

Dłonie Klemensa już od dawna ślizgają się po jędrnych pośladkach, po łonie Maryśki... Och, po jak śliskich wargach! Palce Klemensa odnajdują...

Och! jak bardzo Maryśka tego potrzebuje, pragnie! Wracają tamte doznania... Tak, nauczył ją kiedyś takich „niebiańskich uniesień”, „świętych doznań” ksiądz Mikołaj. – Było to parę lat temu, kiedy była jeszcze dzieckiem, ale tamtych doznań nie zapomni już nigdy - do końca życia! Teraz tu wróciły, odbierane z jeszcze większą mocą – już nie dziecka – a, kobiety.

Nie wiedząc kiedy, oboje znajdują się na szerokim stole. Kotłują się wśród porozlewanych mazistych kremów, przewracanych butelek z likierami. Tarzają się w rozsypanym cukrze pudrze, w kakao, w zmielonej kawie - zwariowali, zwariowali! Zwariowała Maryśka! - Klemens jeszcze nigdy nie odczuł, nie widział, tyłu i takich mocnych orgazmów u kobiety.

Potem, długo myją się nawzajem pod prysznicem w sanitarnym pomieszczeniu dla pracowników. - Ha, ha, ha... - iskają się - jak małpa małpę - jak małpa małpę - odnajdując we włosach nie tylko na głowie drobiny kawy, rodzynek, skórek pomarańczy...

I, i znowu, znowu, dłoń, zachłanne palce Klemensa doprowadzają Maryskę do takiej ekstazy, że Klemens nie wierzy własnym oczom temu - co dzieje się z ciałem Maryśki.

Kiedy już dziewczyna idzie nocą do domu, czuje, że ciągle pachnie, pachnie cała tak cudownie, taką słodyczą... - Jest ciastkiem, jest napoleonką! Czuje od siebie zapach, do którego wie, że będzie wracać - na pewno! Kiedy już się żegnali, Maryśka zauważyła, jak Klemens wciska do jej zszarganej, szkolnej torby, cały plik pieniędzy z niedzielnego utargu.

- Spotkamy się jutro?! – zaborczo całując ją na pożegnanie rozkazująco dopytuje Klemens. Maryśka wie, że to nie jest pytanie, wie, że nie odpowie przecząco.

Cała ich rodzina żyła z dnia na dzień. Zamieszkiwali parterowe, małe mieszkanko w starej przedwojennej, jeszcze poniemieckiej kamienicy, mieszkanko, którego nikt nie remontował od czasów wojny. Od kiedy ojca wyrzucili za wódkę z pracy w stoczni – ojciec zaczął pić jeszcze bardziej. Matka też nie stroniła od alkoholu, znajdując coraz mniej sprzątań u ludzi. Ona, Maryśka najstarsza z trójki dzieci, od dawna była niczyja, pozbawiona opieki, miłości. A na dodatek, to właśnie ona musiała zajmować się dużo młodszą dwójką braci, jak i całym ich rodzinnym domem. Ojciec jak był trzeźwy, dorabiał na czarno w pobliskim warsztacie blacharsko-lakierniczym. Rzadko kiedy jednak, przynosił stamtąd do domu pieniądze – niestety, wszystko od razu przepijał. Matka chodząc sprzątać „po ludziach”, bywało, że do pomocy zabierała niekiedy Maryskę.

W domu nikt nie reagował na monity z zasadniczej szkoły odzieżowej – monity, z których wynikało, że Maria Friedtke nie uczęszcza na zajęcia szkolne, i ma ogromne kłopoty nie tylko z matematyką i chemią – ale, i z zajęciami praktycznymi

i, najprawdopodobniej w ogóle nie ukończy szkoły. Maryśka sama wiedziała, wiedziała, że musi, że powinna ukończyć tę zasraną zawodówkę – wiedziała, że powinna - ale, codzienne życie...

Maria Friedtke nie była prymitywnym tłumakiem, o nie - wręcz przeciwnie. Jak na taki dom, takich rodziców, Maryśka nosiła w sobie zasoby, pokłady niewydobytej do tej pory ogłady i, nie wiedzieć skąd u niej się nagle wzięła - wrodzonej inteligencji. - Tylko ten los, żeby los pozwolił jej, żeby był dla niej łaskawszy.

Mimo późnego powrotu do domu po słodkiej nocy, Maryśka obudziła się rano przed szóstą razem ze wszystkimi. Pierwszy raz w jej życiu tak mocno bolała ją głowa. - Aż rozsadzało skronie i mdliło, mdliło strasznie, gdzieś tam od samego środka, od żołądka. Próbowала maskować swój stan, wytrzymała do momentu, aż rodzice wyszli z domu. Zaraz potem wymiotowała, rozrywało ją - ale nikt tego nie widział. Mimo ciężkiego stanu z trudem, bo z trudem, pomogła wyekspediować braci do szkoły. Potem wróciła na powrót do swojego wyrka i zasnęła. Około jedenastej zsunęła się z łóżka, ciągle jeszcze na wpół przytomna. Zimna woda w misce, w której umyła się cała otrzeźwiła ją, ale nie pozbawiła do końca zapachu cukierni, zapachu Klemensa, zapachu tej nocy. W końcu ubrała się w niedzielne ciuchy i wyszła z domu. – Wyszła z zamiarem pójścia do szkoły? - Mogłaby, gdyby się uwinęła, przyspieszyła - zdążyłaby jeszcze, chociaż na ostatnie trzy lekcje – ale, nie namyślając się długo Maryśka udała się w miasto.

- Do podjęcia takiej decyzji przede wszystkim sprowokował ją plik pieniędzy – prawie cały niedzielny utarg Słodkiego Nieba, który znajdował się w torbie, między dwoma starymi zeszytami, pełnymi samych niedostatecznych stopni i czerwonych wpisów nauczycieli.

Maryśka idzie ulicą, mijają ją ludzie śpieszący się do swoich obowiązków. Nikt nie zauważa szczęśliwych, zielonych oczu i zagadkowego jak u Mona Lissy uśmiechu na twarzy dziewczyny. Przemierzając ulicę Gdańską Maryśka podąża w kierunku tramwajowego przystanku, z którego wie, że dojedzie do Wrzeszcza. Już w ogóle nie myśli o szkole – na powrót jest w smakach i zapachach, w likierach i kremach cukierni Słodkie Niebo.

Dzisiaj, nie tylko dla zabicia czasu, jedzie na największy trójmiejski bazar – wrzeszczański rynek. Dzisiaj jest panią! Ma kupę szmalu! Jeszcze nigdy nie trzymała tak mocno, obiema rękoma, swojej szkolnej torby. Już przystanek na Kościuszki. Tramwaj staje, Maryśka wysiada i przechodzi kilkaset metrów. Po straganach chodzi przez cały dzień, zaglądając pewna siebie jak nigdy, na wszystkie stoiska. Dzisiaj ma pieniądze. Jest panią!

Nikt by nie skojarzył, że już raz weszła do tej budy zrobionej na „Restaurants” i zjadła porcję kurczaka z różną. Teraz przyszła tu ponownie na pizzę upstrzoną pieczarkami, serem, salami, zieleniną i kapiącym po palcach keczupem. Dzisiaj mogła zamawiać, jeść co chciała – jak inni! Szaleje, szaleje Maryśka z zakupami. W międzyczasie odważa się wstąpić do fryzjera” Filipa”.

- Wyjątkowo mam wolne miejsce. Do mnie trzeba się awizować, ale, jak mi pani... – (powiedział „pani”, bo przebrała się już dawno w targowiskowej toalecie w nowo kupione ciuszki – stare, wraz z zszarganą, znienawidzoną torbę na książki wrzuciła do śmietnika). – Jak mi Pani pozwoli to, z tych włosów, z pani, zrobię bóstwo.

Pozwoliła. Jeszcze nikt obcy w jej życiu nie mył jej głowy takimi pachnącymi wielkim światem szamponami! Nowa fryzura: Włosy krótko podcięte, wygolona głowa wysoko z tyłu - z przodu modny, fikuśny kosmyk spada na prawe oko. – Mis! Modelka! - zachwyca się fryzjer Filip swoim dziełem. Fryzjer, kosmetyczka, manikiurzystka... - wydobyli z Maryśki taką urodę, o której ona sama nigdy w życiu nie miała pojęcia. - Pierwszy raz w życiu Maryśka podoba się samej sobie.

- Chciałbym, żeby pani była naszą modelką – podlizuje się na zakończenie swojego dzieła mistrz Filip. – Maryśka jednak nie dała napiwku. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że trzeba. Do domu wróciła późnym popołudniem, obładowana siatkami i torbami. W nich były też prezenty dla matki i braci.

Skąd, skąd? - będą pytać bracia, rodzice o ile będą trzeźwi. Co odpowie? - Jak zwykle, poradzi sobie.

Po dwudziestej, była umówiona w Słodkim Niebie. „Już nikogo nie będzie w cukierni, będę czekał... - Przyjdiesz? - Musisz przyjść. Proszę...” – Maryśka przypomina sobie chciwe, niecierpliwe słowa właściciela cukierni.

Przyjdzie. Już od dawna nie mogła doczekać się dwudziestej - już idzie. Czuje, że jeszcze nigdy nikomu, nie była tak potrzebna. Nikt tak nie skomlał o nią, nikt tak jej o nic nie prosił, nikt tak pięknie do niej nie mówił - nikt też dla niej, nie był taki - taki łaskawy, hojny – nikt.

Chyba, chyba jest młodszy od mojego ojca... - idąc, uspokaja podświadomie samą siebie, swoje sumienie - zdając jednak sobie sprawę z nietypowej sytuacji.

„Możesz u mnie pracować. Potrzebuję kogoś do pomocy, do pielęgnacji mojej chorej żony - chora, już nie wyzdrowieje. Ma chore serce. Potrzebuję kogoś takiego jak ty. – Zobaczysz, nie pożałujesz” – tańczą w głowie Maryśki słowa właściciela cukierni, ma w głowie mętlik. – Tak, wczoraj oszaleli, oszaleli oboje. „Będę cię pragnął zawsze, będę zawsze cię ubóstwiał” – kleją się, kleją do mózgu Maryśki słowa Klemensa - jak w tę noc do jej ciała napoleonkowy krem, jak likiery, kakao i kawa...

Jak będzie dzisiaj - czy dzisiaj też? Czy on podtrzyma tę swoją fascynację - fascynację nią, zwyczajną Maryską? Narozrabialiśmy wczoraj... Nie mogła nadziwić się, jak do tego wszystkiego doszło, jak to się stało, że i ona była taka... - Taka rozwiązała, dzika. Dziwi się, dziwi samej sobie, ale, chyba wie... Myśli Maryśki kłębią się, kłębią wokół nocy w cukierni. – I dobrze, tak, niech wracają - trwaj chwilo, trwaj! Maryśka znowu pragnie smaku kremów, zapachu likierów... Chce z niego, z Klemensa znowu zlizywać krem napoleonkowy... Idąc ulicą, mimowolnie oblizuje wargi i z lubością przygląda się sobie w odbiciach prawie każdej sklepowej wystawy. Dzisiaj podoba się sobie. Tak, upiłam się wczoraj, cholera, upiłam. To była szalona noc! Niesamowita przygoda. Całkowicie inna wszystkie. Inna niż...

- Niż to chodzenie, to uprawianie seksu z tym gówniarzem Podkówką. - Wspominając kumpla z dzielnicy, Maryśka wykrzywia usta w grymasie niesmaku. - Nigdy więcej!

Nagle, jej pamięć przywołuje jeszcze inne zdarzenie - tamto, dawne, jeszcze z lat dzieciństwa... - Ale, nie - o księdzu zapomnieć, zapomnieć! - Maryśka walczy ze sobą – Nie, nie, zapomnieć!

- Ale, „tamto” – jak z tubki, resztką wyciskanej pasty do zębów – wychodzi, wylazi z zakamarków umysłu Maryśki i, nie daje, nie daje wcisnąć się w mózg na powrót.

- Ile miałam wtedy lat? – Czy to było jeszcze przed przystąpieniem do pierwszej komunii? Zakradliśmy się wtedy całą dziecięcą zgrają do okalających kościół sadów na jabłka. Tym razem się nie udało, cieć księdza przyuważył nas. Wszyscy zdążyli uciec, tylko ja zawisłam na kolczastych drutach ogradzających ogród. Do dzisiaj mam „tam” szramę, która będzie już zawsze przypominała mi tamto zdarzenie... – Brzydka szrama ciągnąca się stamtąd, aż po udo. Podkówka ją wyśmiewał, kiedy rozkładałam mu nogi – ale, on, właściciel cukierni, Klemens - wczoraj obcałowywał mnie tam, lizał tę moją bliznę, mówił, że ta blizna jeszcze bardziej go podnieca. Dziwne - tak samo, po przyłapaniu mnie na kradzieży jabłek zachowywał się ksiądz Mikołaj... Gdy ksiądz Mikołaj mnie opatrywał, leczył, wtedy też szeptał: Najlepiej leczyć rany właśnie w taki sposób - jak to robią zwierzątka; sarenki, pieski, kotki – językiem - wtedy rany goją się najszybciej. - Tak, tak mówił, i tak robił, tak leczył mnie ksiądz Mikołaj... Miałam wtedy dużo pieniędzy na cukierki, lody. Dostałam od księdza rower. Jak zaleczymy ranę, będziesz mogła jeździć - tylko najpierw wyleczymy. Przychodź codziennie na opatrunki... I, przychodziłam i ksiądz mnie leczył... Nie broniłam się przed niczym, co mi robił i co mi kazał robić. Ufałam mu. Był dobry, był dla mnie niczym Pan Jezusik, o którym tak cudownie opowiadał nam na lekcjach religii. - „Tylko nie mów rodzicom, nikomu - wyleczymy sami. Lepiej niech nie wiedzą - bo będą się tylko o ciebie martwili” – Nie, nie powiedziałam nikomu, zresztą nikt mnie o nic nigdy nie pytywał. A ksiądz Mikołaj leczył mnie i leczył. Wtedy nie byłam głodna i miałam jak inne dzieci ładne zeszyty i książki. Ksiądz Mikołaj tylko do mnie się uśmiechał na lekcjach religii, przysiadał na mojej ławce, głaskał mnie po głowie, a nawet zabierał do siebie na plebanie i pomagał, pomagał w odrabianiu lekcji... Chyba to właśnie dzięki niemu bez większych problemów ukończyłam szkołę podstawową. Lubiłam go, ciągle go lubiłam i, nawet polubiłam to, co mi robił. Polubiłam bardzo to, co robiliśmy razem, polubiłam na całe życie...

Maryśka dopiero teraz idąc ulicami Gdańska uświadamia sobie, że właściciel cukierni, jest bardzo podobny do księdza Mikołaja. Tak samo gruby, łysy, czerwony, aż purpurowy na twarzy, gdy... I, tak samo dobry, łaskawy.

Dochodzi dwudziesta. Maryśka zmierza w stronę cukierni coraz szybciej, już staje przy drzwiach. - Jeszcze nie zdążyła nacisnąć klamki a, już drzwi otwierają się i zostaje wciągnięta do środka. W pomieszczeniu jest półmrok. Tylko spod szklanego blatu lady, słabe światło małych jarzeńówek, zabarwione kolorami tortów i ciast przenika mrok cukierni.

- Przyszłaś, przyszłaś... - Klemens przywiera do dziewczyny nie zdając sobie sprawy z siły swoich objęć, jest jeszcze silnym mężczyzną. Maryśka czuje jego moc na całym swoim ciele, a w dodatku on tak ładnie, tak miłośnie pachnie napoleonką... - A ona, Maryśka, ona Maryśka potrzebuje, potrzebuje natychmiast - tego, co będą razem ze sobą robili.

- Co za fryzura. Jaki makijaż. - Jesteś taka piękna. Piękna! - mimo słabego oświetlenia, zauroczony Klemens przygląda się Maryśce i już się oblizuje, już jego ręce szukają tych małych krągłości, pod jej nowo kupioną bluzeczką. Już szczypie jej - ale twarde! sutki okoone czarną koronką stanika. - Już, już rozciąga nogawkę kupionych dzisiaj na wrzeszczańskim straganie, nowiutkich, czarnych, jedwabistych wykończonych koronką majteczek. Kotłują się, kotłują na podłodze za ladą, na przygotowanym przez niego wcześniej pościu. Maryśka pragnie - pragnie? - tak pragnie - już ma go w ustach... - Och, och... - chrapliwy sapiący oddech Klemensa roznosi się po całej cukierni. Skąd, skąd ona to umie, skąd... - dziwi się między jękami Klemens.

Maryśka umie. Takie kiedyś sapania, jęki, okrzyki „wniebowzięcia” wydobywał z siebie ksiądz Mikołaj. Maryśka widzi podobieństwo. Klemensem tak jak kiedyś księdzem, targają te same „święte doznania” i „boże uniesienia” - (tak, wtedy nazywał to, co robił z małą dziewczynką ksiądz Mikołaj). Maryśka wie, że jest już wprawiona, potrafi - niczego nie musi się uczyć, udawać - ksiądz ją nauczył. Z księdzem trwało to i trwało. Sama nie wie, kiedy, i czy w ogóle by to się skończyło, gdyby... Gdyby ksiądz Mikołaj się nie powiesił.

- Nie oddam, nie oddam cię nikomu! Będiesz moją panią! Szefową! Moje ty, cudowne... - brakuje Klemensowi słów określających jego euforię, jego uwielbienia dla młodziutkiej dziewczyny.

Maryśka promienieje szczęściem, Klemens pachnie cukiernią, napoleonowym kremem, Maryśka wie, że już nigdy nie będzie łaknąć jednego ciastka... Klemens, podobnie też do księdza Mikołaja kipi żądzą seksu!

Oświetlona lada ledwie dzieli się swoją słabiutką kolorową jasnością. Leżą, przytuleni miłośnie do siebie, już nasyceni. Dla Klemensa - tego przeszło pięćdziesięcioletniego mężczyzny, ta młodziutka dziewczyna nawet pachnie inaczej niż jego Agnes. Klemens ma wyjątkowo rozbudzony zmysł węchu. Posługuje się nim, na co dzień w zakładzie przy komponowaniu smaków tortów i ciast. Węch w jego zawodzie odgrywa niepoślednią rolę - może nawet porównywalną ze smakiem. Lekko, ale naprawdę lekko zjełczałe masło, śmietanę, która trochę postąła, nieświeże jajka, odrobinę stęchlą mąkę Klemens wyczuwał na odległość. Teraz, zapach ciała tej młodziutkiej dziewczyny, tryskającej seksem, dziewczyny z domu, w którym nie ma bidetu ani wanny, dla którego obca jest kosmetyczna chemia - działa na jego zmysły odurzająco. Pozbawiony poprzez życie z Agnes prawdziwych doznań - Klemens jest wniebowzięty!

- Moja żona już nie wstanie, jest bardzo chora. Jej serce... Potrzebujemy kogoś do pomocy. - Przyjdiesz jutro, zaraz po szkole do cukierni. Zapytasz o szefową albo o szefa. Będę czekał...

Maryśka znowu wróciła do domu z całym kartonem ciastek i... Zakamuflowanymi między zeszytami pieniędzmi.

- Skąd ciacha? – pytają bez zainteresowania bracia, opychając się ponad miarę. Matka, domyślając się jednak najgorszego, podejrzliwie gdera, ale Maryśka wie, co ma odpowiedzieć: Sprzątam po szkole cukiernię. Tam mi płacą. Szef chce mnie zatrudnić na stałe. - Wszystkim wystarczają jej usprawiedliwienia, nigdy nie mieli tyle słodczy w domu.

Upiekłoby się jej i to, że od dawna nie chodzi do szkoły, ale... Pod jej nieobecność próbował skontaktować się z rodzicami nauczyciel zawodu. - W domu zastał tylko najmłodszego, jedenastoletniego brata.

- Powiedz rodzicom, żeby natychmiast przyszli do szkoły w sprawie twojej siostry...

- I, Marcinek wykrzyczał, jak tylko wróciła matka ze sprzątanía: Maryśka nie chodzi do szkoły! Przyszedł pan, kazał, żeby mama przyszła do dyrektora, bo ma same dwóje i chcą ją ze szkoły wyrzucić.

- Ja nie pójdę! I nie będę świecić oczami! - Powiem ojcu. Dostaniesz wpieprz! – krzyczała, awanturowała się matka, będąca już po paru szklaneczkach wina – gdy Maryśka wróciła do domu. – Gzić się zaczynasz. Co to za fryzura! - Do książek! - Spróbuj mi nie skończyć zawodówki - z dupy nogi ci ojciec powyrywa! Wypieprzymy z domu!

Och, jak Maryśka ma tego wszystkiego dosyć! Dosyć tego syfu, tej biedy, tych pijackich awantur ojca i... Tej pieprzonej zawodówki. Tych, pozał się boże kumpli gówniarzy. Tego niby jej chłopaka Podkówki - zasmarkanego gnojka, który ciągle nie mógł zdecydować się, czy chodzić z nią, czy z Mariolą jej najlepszą przyjaciółką. Ma dosyć tych zasnanych kiboli Lechii! Ma dosyć tych swoich koleżanek z osiedla - towarzyszek wagarów, piwa, papierosów, a nawet... Maryśka jeszcze nie próbowała, jeszcze nie dała się namówić na „Butapreny” - jeszcze, jeszcze nie. Dobrze, że ma teraz tego... Wujcia. On jej pomoże, wyciągnie z biedy, z takiego domu, z takiej szkoły - prawdziwy opiekun, obrońca, przyjaciel.

Znowu nie poszła do szkoły. Wychodząc z domu z samego rana ruszyła w miasto. Kręcąc się po ulicach Gdańska, z niecierpliwością czekała południa. W końcu, zbliżała się „ta” godzina. Zaczęła krążyć w pobliżu cukierni. Już na ulicy pachniało wypiekami, kremami, likierami - zapachem szefa. Już od samych zapachów przechodziły po jej młodziutkim ciele ciarki. Od samych zapachów, coś się z nią zaczynało dziać...

W końcu, trwożnie otworzyła drzwi cukierni. Kilka osób stało w kolejce. Jakiś chłopczyk ściskając jedną monetę w brudnej garstce, nie bardzo chciał się z nią rozstać, ale, może głód, może łakomstwo...

- Popłose dlozdzówkę - kładąc monetę na ladzie, łykając ślinę dodał – tą z serem, dużą, największą.

Maryśka zapatrzyła się na chłopca - Urwis... jakże podobny do Marcinka... - Ten mój, chyba też by się tak zachował – pomyślała i chciała chłopcu nawet dać od siebie na ciastka, ale...

- Słucham. Słucham panią! – to było do niej.

- Panią? - Tak „Panią”. - Będę twoją „Panią” – zobaczysz - mimowolnie przeleciała przez głowę Maryśki ta zuchwała myśl.

- Ja do szefowej, albo do szefa... – pamiętała, że tak miała powiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że dzisiaj jest dobrze ubrana, dobrze wygląda. - Tak, Panią. Tak, Panią!

- Zawołaj szefa! – krzyknęła młoda dziewczyna zza lady do drugiej będącej w ruchu, akurat w tej chwili stojącej bliżej drzwi oddzielających zaplecze.

Maryśka patrzyła, jak dziewczyny chodziły, deptały po miejscu za ladą, na którym oni – ona i szef, dzisiejszej nocy...

- Szefie. Szefie! Do pana jakaś pani! – usłyszała z zaplecza.

Nie czekała długo. Wyszedł w białym fartuchu. Białą koszulę pod szyję zdobił jaskrawy czerwony krawat w białe grochy. Dzisiaj zdawał się Maryśce mężczyzną zdecydowanie młodszym, przystojniejszym, pięknym.

- O co chodzi? – wychodząc z zaplecza zapytał i jakby jej nie zauważając wśród stojących w kolejce ludzi powtórzył - O co chodzi?

- Ta pani do szefa – dodała dziewczyna obsługująca akurat chłopca, któremu wykorzystując zamieszanie, umyślnie zapakowała dwie zamiast jednej drożdżówki. Nie uszło to uwadze Maryśki - nawet to się jej spodobało - nie powie o tym „szefowi”.

- Słucham - niby zdziwiony, Klemens skierował wzrok w kierunku Maryśki, a jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

- Ja w sprawie prywatnej... - tak się umówili.

- Proszę, proszę na zaplecze. Podskoczył, uchylił sprawnie - jak młodzian – odchylaną część lady. Maryśka przeszła obok niego, obok ekspedientek, udając niepewność - jakby nigdy nie zaistniał fakt, że już tu bywała. Klemens podążył za nią. Weszli do niedużego kantorka. Na biurku w nieładzie leżało kilka faktur, rachunków, jakieś niedbale zapisane kartki, pieczątki, maszyna do pisania,

telefon... Klemens szybko przekręcił klucz w drzwiach. Jednym ruchem odgarnął papierzyska, uniósł Maryskę lekko jak kotkę i sadzając ją na blacie biurka, przywarł do niej całym sobą.

- Co ty ze mną wyrabiasz. - Cooo? - obcałowywał jej usta, oczy, szyję... - Nie mogłem się doczekać - wyszeptywał między pocałunkami.

- Mam problem w szkole... - Maryśka próbowała mówić, ale zamykał jej usta swoimi.

Z za zamkniętych drzwi dochodziły głośne pokrzykiwania pracowników. Odgłosy pracujących w pobliżu maszyn, mieszarek, ubijarek zagłuszały ich szepty. Klemens na nic nie zważając zadarł Marysę spódniczkę, zsunął majtki i wpił się zachłannie ustami, językiem w jej wargi. A Maryśka pochylona nad tysą głową, dociskała ją sobie tak długo, aż podzieliła się z Klemensem swoimi spazmami. Wtedy i jego spodnie w okolicach rozporka, stały się mokre i lepkie.

W biurowym kantorku, oboje czerwoni na twarzach, doprowadzając się do porządku ustalili wszystko na przyszłość:

- Nie martw się o szkołę, pójdę jutro, załatwię. – Najwyżej wyremontuję, wymaluję im klasę - ale myślę, że wystarczy łapówka. Przyjmę cię od jutra do siebie. Będiesz opiekowała się moją żoną, mną... – dodał posyłając jej porozumiewawczy uśmiech. Mieszkamy na piętrze nad cukiernią. Żona już wie, że będzie dziewczyna. Tylko ty załatw sobie te sprawy z rodzicami.

- Już im powiedziałam, że idę do pracy - tylko szkoła.

- Jeszcze raz ci mówię - przyniosę ci świadectwo w zębach.

Kiedy Maryśka wracając, przechodziła obok dwóch ekspedientek obsługujących klientów, miała spuszczone wzrok i pąsy na twarzy. Szybko sama uniosła wieko lady i wyszła w pośpiechu. Klemens stał w drzwiach zaplecza i, ciągle pożądliwie, z uwielbieniem obserwował każdy jej ruch.

Dlaczego akurat ona? - sam nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie. – nie umiał? - Tak, Mery... Mery będzie moja! - pierwszy raz tak ją nazwał w myślach.

Na pomoc domową wcale nie musiał namawiać żony. Agnes leżała w łóżku schorowana, apatyczna, obojętna na cały świat. Ledwie podnosiła się za potrzebą. Klemensowi do tej pory w sprzątaniu domu sporadycznie pomagały ekspedientki z

cukierni, ale robiły to z niechęcią i awersją do szefowej. Nikt specjalnie nie lubił „tej grubej Niemry” (Agnes ciągle brudziła niemieckimi twardościami swój język polski.) Mimo, że szef nie był bardziej rozrzutny od żony w wypłacaniu pensji czy premii – pracownicy jednak woleli podporządkować się jemu - szefowi.

Od kiedy już teraz „Mery” zaczęła pracować u szefa na górze, Klemens nie mógł się nią nacieszyć. Był zachwycony swoją niebywałą intuicją i zrządzeniem losu. Bywało, że stojąc przed lustrem w łazience, gdy już zgolił z różowej twarzy jasny, prawie rudy zarost, wciągał brzuch, wypinał wyliniałą pierś i zaczynał się mizdrzyć sam do siebie, w duchu dziękując Bogu i opatrności - za tak wielką łaskę. Tak, Klemens Klamke zaczynał nowe, piękniejsze życie.

Tak jak obiecywał, przyniósł „w zębach”: Świadectwo Ukończenia Zasadniczej Szkoły Odzieżowej - Marii Friedtke - w dodatku, z zapewnieniem, że załatwi jej również świadectwo ukończenia technikum odzieżowego. Na razie zatrudnił Mery u siebie, jako uczennicę w celu przyuczenia do zawodu cukiernika.

- Przyda ci się również świadectwo czeladnicze. Na razie będę płacił za ciebie minimalny podatek i znikomą stawkę za ubezpieczenie. Kiedyś, kiedyś przyda ci się takie zaświadczenie o pracy do ubezpieczenia, no i będziesz miała potwierdzenie kwalifikacji – zrobię z ciebie jeszcze mistrza cukiernictwa! - Na starość jak znalazł – zaśmiał się ze swojego niby dowcipu.

Zatrudnienie Mery opłaciło się Klemensowi stokrotnie. Od razu gospodarsko - jak na swoim, Mery zajęła się domem. Już nie wracała na noc do rodziny. Spała w pierwszym pokoju, tym z aneksem kuchennym i łazienką na kozetce - co prawda nie za bardzo wygodnej szczególnie w... nocie z Klemensem. Mery, również naprawdę z chęcią opiekowała się szefową, coraz bezwładniej leżącą całymi dniami w drugim sypialnianym pokoju, na szerokim małżeńskim łóżu. Robiła to z wprawą, miała dla tej grubej schorowanej kobiety dużo cierpliwości, wyrozumiałości i współczucia.

- Jakby pani się podniosła, wstała to bym trochę poprawiła, przewietrzyła pościel. - Podniesie się pani, wstanie? - pomogę.

- Mery... Agnes chwyciła za chudy nadgarstek dziewczynę krzątającą się wokół łóża, pomagającą jej się podnieść. – Mery, usiądź, porozmawiajmy... Mery,

ja pamiętam ciebie jeszcze z czasów jak byłeś dzieckiem, jak przychodziłeś do nas, do cukierni po jedną napoleonkę - ja pamiętam. A teraz... wszystko widzę, wiem. To dobrze, że tak się stało. Klemens jest szczęśliwy - ja to widzę, dostrzegam. Ja, już mu nic nie mogę dać, ofiarować. Jestem chora, sama widzisz, moje serce... - A on jest teraz szczęśliwy - to dobrze, to bardzo dobrze. Mery, przenieś mnie z tym moim barłogiem, z tą moją chorobą do tamtego, twojego pokoju. Będę miała bliżej łazienkę. Będę widziała, jak krzątasz się w kuchni, jak gotujesz. Nie będę cały dzień leżała samotnie. Mery, będziemy rozmawiać, zaprzyjaźnimy się bardziej – proszę, zamienimy się. - A tu, tu śpijcie razem. Mery, mnie to nie boli. Naprawdę, Mery, ja...

- Nie, nie mogę tego zrobić. Proszę porozmawiać z mężem. Niech szef zadecyduje – zdziwiona, postawą szefowej próbowała przerwać wywody Maryśka.

- Mery, proszę cię... - grubaśna kobieta ciągle trzymała dłoń dziewczyny w swoich spoconych, nabrzmiatych, wodnistych rękach. - Mery, proszę cię, śpijcie tu razem. Wyrzuć mnie, wyrzuć do tamtego pokoju. Ja już nic... Ja nigdy nic... nie czułam. Mery, mnie mężczyźni nic, nic, w ogóle... nigdy. Klemens był, jest dobrym człowiekiem... – Kobieta nie wypuszczała dłoni dziewczyny, głaskała jej rękę. Jej oczy błagalnie, gdzieś zza mgły zaświeciły się jakby jaśniej. Mery, proszę...

- Dobrze, porozmawiam wieczorem z szefem, z pani mężem. Teraz niech pani spróbuje wstać. Zaścielę, poprawię pościel.

- Mery, proszę, nie mów do mnie... - Tak, mów mi po imieniu. Agnieszka – dobrze?

- No, nie wiem... - dobrze.

Wraz z przeniesieniem Agnes do drugiego pokoju Mery postanowiła przeprowadzić remont całego mieszkania. Męczyli się prawie przez dwa miesiące, ale w końcu mieszkanie nabrało całkowicie innego charakteru, klimatu. Klemens nie mógł nadziwić się zdolnościom Mery. Ta główniara zadziwiła wszystkich dookoła pomysłami; nowymi kolorami tapet, nowymi firanami, storami, innym ustawieniem mebli, inaczej rozmieszczonymi na ścianach obrazami.

- Szczęście ty moje. Moje kochanie... - szeptał jej do ucha już w małżeńskim łóżu - już teraz ich wspólnej sypialni Klemens.

Przestali się kryć ze swoimi uczuciami i nawet nie zamykali drzwi dzielących ich od leżącej w drugim pokoju Agnes.

Na dole w cukierni też przebąkiwano:

- Ta nowa, czarna to nie tylko gosposia... Głowę daję, że ją stary posuwa... domyślali się niektórzy.

Mery coraz śmielej poczyniała sobie również w cukierni. Klemens coraz częściej zlecał jej podliczanie utargu, sprawdzanie kasy. Kiedyś, w szkole Maryśka nie mogła poradzić sobie z matematyką. Tu, w cukierni, z dnia na dzień księgowość przestawała być dla niej tajemnicą. Wszystkim zadziwiała Klemensa. A Klemens czuł taką potrzebę bliskości z Mery, że bez obawy dopuszczał ją do wszelakich finansowych tajemnic jak i manipulacji w cukierni - bez których w tamtych czasach prowadzenie firmy nie byłoby możliwe. Mery brała udział przy zakupie na lewo; mąki, cukru, spirytusu, maku czy za zakupione od cinkciarzy bony; bakalii, czekolady, likierów i rumów w Baltonie.

Zaczęli nawet chodzić razem do kościoła na niedzielne msze, a właściwie jeździć beżowym Mercedesem („Przejsiówką” z prostokątnymi lampami z przodu, sprowadzoną z NRF) – jeździli autem, mimo że kościół był w pobliżu. Bywało, że Klemens aż prostował się z dumy, idąc obok Mery w stronę ołtarza, by wspólnie przystąpić do komunii.

Któregoś wieczoru, kiedy Mery weszła do mieszkania z podliczonym utargiem, a Klemens nie wrócił jeszcze z cechowego zebrania, Agnes usłyszawszy krzątającą się po domu dziewczynę, przywołała ją do siebie.

- Mery, umyjesz mnie? Dzisiaj już nie mam siły nawet się podnieść. Z ledwością byłam tylko raz w łazience.

Mery nalała gorącej wody do dużej, plastikowej, seledynowej miednicy. Szampon, gąbka, zagraniczny olejek Johnsona dla niemowląt, dwa duże frotowe ręczniki... - Noooo, niech się pani... Podnieś się - podłożę ręcznik, żebyśmy za bardzo nie zmoczyły pościeli. Mery używając całej swojej siły, odwracała Agnes na boki, obmywała jej obwisłe, ciężkie, lejące się niczym surowe ciasto piersi, wciskała gąbkę pod tłuste fałdy brzucha, ud, myła, myła wszędzie.

W pewnym momencie Agnes chwyciła Mery za rękę i zaczęła swym chorym szeptem: Mery... Klemens jest teraz bardzo szczęśliwy. Widzę, widzę jaki jest radosny, wesoły. Słyszę, jak się przekomarzacie, widzę, jak patrzy na ciebie. Nieraz jeszcze wstaję... Nie mam do ciebie żalu. Już ci mówiłam. Wiem, że nie umiałam mu dać tego, co ty mu dajesz. Wiem, podglądam was... - mówiąc, Agnes coraz mocniej ścisła nadgarstek Mery. - Nie chowajcie się z tym. Chcę patrzeć, jak się to robi, chcę widzieć to - czego ja nigdy nie umiałam dać jemu - nie umiałam dać jemu i, sobie. Chcę to widzieć. Ja... nigdy nie czułam nic do mężczyzn, proszę. Nie chowajcie się z tym przede mną. Ciebie o to proszę. Nigdy nie śmiałabym poprosić o to Klemensa - dobrze?

- Taaak - odpowiedziała Mery niepewnie, pomagając podnieść się wyżej kobiecie, by ta mogła oprzeć głowę o wysoki zagłówek i dwie poduchy. Jeżdżąc gąbką po nadmiarze białego, wodnistego ciała, po zwałach tłuszczu, Mery rozwarła grube, rozlazłe uda Agnes i weszła gąbką w fałdy zakrywające łono i miejsce, z którego roznosił się skisły, nieprzyjemny zapach. - Robiąc to, dziwiła się sama sobie - że to potrafi, że nawet nie czuje obrzydzenia.

- No, jeszcze tylko oliwka, żeby nie pojawiły się odleżyny.

Wylewa oliwkę, na to ogromne ciało, ciągle przypominające jej ugniatane, wyrabiane ciasta - na dole, na produkcji. Z premedytacją rozciera oliwkę w najskrytszych nawet zakamarkach fałd i, Mery spoglądała ukradkiem na otwierające się coraz szerzej usta Agnes, na jej coraz bardziej maślane oczy. Umyślnie ponownie leje z buteleczki „tam” - jeszcze głębiej, większą ilość oliwki i... Jej dłoń, jej palce ślizgają się tam... coraz głębiej, rytmiczniej. Agnes nagle łapie za nadgarstek Mery i zaczyna nadawać jej ręce swój własny, jeszcze szybszy, szybszy rytm... Mery nie oponuje. Z nią też zaczęło coś się dziać... Szybciej, szybciej, coraz szybciej Agnes potęguje ruchy ręki Mery i...

Agnes już nic nie mówi, tylko dyszy, stęka i... wyje! Wyje coraz głośniejszym, na cały dom.

Raptem... – jak hejnał na wieży mariackiej w Krakowie – wycie nagle urywa się.

Lekarz robiący sekcję zwłok stwierdza: „Pęknięcie tak bardzo obciążonego nadwagą i chorobami serca”.

Klemens i Mery zostali w końcu sami - tylko dla siebie. Już niczym nie byli skrępowani, nie musieli niczego udawać. Pracownikom Klemens nakazał mówić do Mery „szefowo”.

W swoim starym rodzinnym mieszkaniu Maryśka przestała być utrapieniem - nieuczącym się tłumokiem. Nawet ojciec zaczął nieudolnie nazywać ją Mechrrry i okazywał jej więcej szacunku. Jej wizyty w domu powodowały, że bracia byli bardziej zadbani. Mery dopilnowywała, żeby chodzili do szkoły, by jakoś się uczyli, mieli czyste ubrania, nowe książki i zeszyty, by nie chodzili głodni.

Postawiła im jednak jeden warunek, im wszystkim; ojcu, matce i braciom:

- Wara wam do cukierni! Jeżeli ktoś z was wejdzie do cukierni – koniec! Nie będę was znała!

Nieraz, ludzie widzieli szwendających się dwóch, małych chłopców w pobliżu zapachu zalatującego od cukierni. Nieraz, widywano w pobliżu tego zapachu pijanego, chudego, niechlujnie ubranego mężczyznę, gadającego coś do siebie.

Klemens był ciągle wniebowzięty, promieniał szczęściem. Mery stawiała się z dnia na dzień „Panią”, „Szefową”. A w nocy... bywało, że sąsiedzi walili w cienką ścianę odgradzającą ich pokój od pozostałych, gdy on i ona nie umieli pohamować swoich żądz. – W takich momentach bywało, że Mery musiała aż wstrząsać głową, zamrużyć powiekami by... Pozbyć się urojeń, przewidzeń w których ona, jeszcze mała dziewczynka, uprawia seks na przemian - z Klemensem i... z księdzem Mikołajem.

Między innymi, być może, że te ich głośne zachowania, skłoniły ich w końcu do ucieczki od zawistnych sąsiadów z kamienicy - do budowy własnego domu. Własnej willi na działce, znajdującej się parę ulic od cukierni, na działce kupionej jeszcze za czasów Agnes. Budowę zajął się Klemens. Projekt był jak na czasy PRL śmiały, ponad standardowy - willa miała mieć przeszło czterysta metrów powierzchni! Klemens umiał wykorzystać chody u władz i w urzędach, umiał obejść

tamte komuchowe przepisy budowlane, zabraniające budowy domu o powierzchni mieszkalnej powyżej 110 metrów. Szybko uzyskał niezbędne zezwolenia i intensywnie gromadził deficytowe na ówczesnym rynku budowlane materiały. Załatwiał przydziały, zezwolenia i codziennie dopilnowywał rozpoczętych prac przez ekipy fachowców. I tu, wielce pomocną, okazywała się Mery. Mijał już trzeci rok ich wspólnego szczęścia, trzeci rok, od kiedy zamieszkiwali bez Agnes. Przez ten okres Mery również systematycznie przejmowała obowiązki szefa w cukierni.

Po przeszło trzech latach służby w Marynarce Wojennej - do cywila powrócił, kiedyś najlepszy pracownik cukierni Słodkie Niebo - Gerard Szwarc Artysta! - jak często wyrażał się o nim sam szef Klemens.

Gerard Szwarc, w starym, niemodnym, trochę przyciasnym garniturze, w niedopinającej się pod szyją koszuli i w szerokaśnym, zawiązanym przykrótco, poliestrowym krawacie - stoi teraz przed nieznaną mu nigdy wcześniej, młodą kobietą, przywołaną z zaplecza zamiast właściciela.

- Czy jest szef? Chciałem z szefem, chciałem z szefem... – powtarza zbity z tropu mężczyzna, przyglądając się z niedowierzaniem młodej kobiecie - zapewne stojącej tu przed nim przez pomyłkę.

- Słucham pana. O co chodzi? – Mery, teraz już od dawna szefową, niemająca nigdy na nic czasu, ciągle zapracowana, zabiegana - tylko prześlizguje się oczami po przybyłym. Ona szefowa od pierwszego spojrzenia wie, z kim ma do czynienia. – I teraz, od razu, umieszcza tego stojącego przed nią faceta w grupie ludzi dla niej nieciekawych, nieinteresujących jej, zapewne coś od niej chcący - z reguły, zawracającej jej tylko głowę - w dodatku akurat teraz, gdy jest tak zajęta.

- Pracowałem tu przed wojskiem. Szef mówił, że będzie czekał, że zawsze mogę tu wrócić. Chciałem pogadać o tym z szefem.

Kiedy ekspedientka wywoływała z zaplecza szefową, Mery akurat płaciła gotówką z ręki do ręki za przywiezioną na czarno, z gorzelni bańkę spirytusu. Oficjalne przydziały ciągle były mikre – Mery zrobiła przed chwilą dobry interes - teraz pozwoli sobie na dobroduszość... - Przygląda się facetowi łaskawiej, przychylniej - tyle opowiadał jej o jakimś tam Gerardzie Szwarcu, mistrzu nad

mistrzami Klemens. – Mery jeszcze raz lustruje przybyłego z dołu do góry: No, no... Młody, postawny, zaczesane gładko do tyłu (chyba na brylantynę) gęste, rudawe włosy. Czarny wąs - przyczerpniony?! – nic nie ujdzie uwadze Mery, nawet pod za ciasnym garniturem - wyczuwa jego sprężystą umięśnioną klatę, jego bicepsy.

- Pracował pan u nas?

- Tak, uczyłem się tu, tu zdawałem egzaminy, przechodziłem starz - mówiąc, Gerard Szwarc odważnie patrzy w oczy tej zaskakująco młodej kobiecie – szefowej?

- Dużo się tutaj przez ten czas zmieniło, wystrój i w ogóle... - dodał, nie umiając ciągle ukryć zdziwienia. – Ale, pracownicy na pewno mnie pamiętają – powiedział z pewnością siebie.

- Przejdźmy na zaplecze, proszę za mną – w końcu, władczo zaproponowała Mery.

Młoda, nowa ekspedientka, szybko podbiegła i chciała podnieść wieko lady, ale przybyły zrobił to szybciej, sprawniej i poszedł sprężystym, pewnym krokiem za kobietą, puszczając jednocześnie oczko do ekspedientki. Gerard Szwarc idąc za kobietą, był pewien, że tak jak kiedyś, ujrzy malutki biurowy kantorek, w którym ledwie mieściło się biurko szefa. Kobieta jednak otworzyła przed nim przestronne, ładnie urządzone pomieszczenie i usiadła za szerokim blatem biurka schludnie uporządkowanego - po kobiecemu.

- Proszę, niech pan spocznie – powiedziała władczo Mery, wskazując opodal stojące krzesło.

Nim usiadł, przysunął je tak, by być bliżej kobiety.

- To jak się pan nazywa? Słucham.

- Gerard Szwarc, Szwarc. U szefa byłem odpowiedzialny za całą produkcję. Mam zmysł artystyczny... Ozdabiałem, robiłem torty. W Marynarce też pracowałam w cukierni, przy ciastach, tortach - przez cały czas rozwijałem się.

- Mamy teraz komplet – odpowiedziała Mery sucho - sama nie wiedząc, dlaczego pragnęła, żeby mężczyzna - poczuł się upokorzony, żeby zaskomlał.

- Trudno. Znajdę pracę gdzie indziej – przybyły odpowiedział jednak hardo, ale nim wstał z krzesła dodał:

- Mimo wszystko chciałabym zobaczyć się z szefem.

- Będzie w cukierni dopiero przed zamknięciem. Jest na naszej budowie. – (Czemu przed tym facetem podkreśliła to „na naszej”, czemu tak bardzo chce być kimś, od kogo zależy teraz wszystko w tej cukierni?) – No, dobrze, niech pan przyjdzie przed dziewiętnastą – zgodziła się w końcu łaskawiej Mery.

- Dobrze, będę. Czy mogę teraz zajrzeć do chłopaków na zaplecze?

- Nie. Jak pan przyjdzie wieczorem, jak będzie mąż, to... - „Mąż” - tak powiedziała pierwszy raz.

Mężczyzna wstał i wyszedł tą samą drogą przez sklep. Mery wzięła się za dalsze uporządkowywanie rachunków. Chciała to zrobić jak najszybciej. Musiała jeszcze przecież ugotować obiad. Z reguły jedli z Klemensem około siedemnastej, gdy wracał z Cechu lub budowy. Zawsze czekała na niego zupa i drugie danie, często kompot, gorąca kawa z ekspresu i coś tam z „dołu”. Najbliżsi nieraz dziwili się Klemensowi, że ciągle lubił, jadł z takim smakiem, apetytem ciasta, słodczyce.

Dzisiaj w bezmięsny poniedziałek (tak, tak było w Polsce jeszcze do osiemdziesiątego dziewiątego roku!) w mieszkaniu nad cukiernią, na stole w wazie, czekała ogórkowa na kurzych skrzydełkach, dorsz opiekany na głębokim maśle, kiszona kapusta pokropiona oliwką i posypana cukrem, a do tego kompot jabłkowy. Tak. Mery nie raz dziwiła się sama sobie, skąd wzięły się u niej takie kulinarne zdolności. Przechodziła samą siebie gotując z niebywałym smakiem i sprawnością. Klemens nie mógł się temu wszystkiemu nadziwić, chwalać Mery nieustannie pod niebiosa i, najadał się ponad miarę.

- Chcesz jeszcze szczawiowej?

- Tak, ale łyżeczkę - już bez jajka. Zobacz, jak rośnie mi kałdun. Niedługo nie będziesz mnie chciała.

- Co ty wygadujesz za głupoty? – Aha, był z rana twój były pracownik, Gerard... - nie zapamiętałam nazwiska. Podobno pracował u nas przed wojskiem.

- Szwarc?! – Klemens zatrzymał w powietrzu uniesioną rękę z łyżką zupy.

- Tak, jakoś tak, chyba Szwarc.

- Nie miałem do tej pory lepszego – artysta. Czy ty wiesz, jak on pięknie maluje obrazy? - Namaluje wszystko, co zechcesz. Podrabia najlepszych - takich

jak, no... Matejko, Gierymski... Co mu kazałem to namalował - musiał tylko patrzeć na oryginał. A jak pięknie dekorował weselne torty! Nie, nie miałem lepszego. Przyjmiemy go. Nie daj Boże, żeby dorwali go konkurenci. Widzisz sama, w jakim tempie teraz mnożą się cukiernie. Rozmawialiśmy o tym nie dawno na walnym w Izbie Rzemieślniczej, a nawet wczoraj na komisji egzaminacyjnej. -

Mówiłem ci, że zostałem przewodniczącym tej komisji? – wtrącił niby mimochodem. – To ja zasugerowałem na posiedzeniu Rady Izby, żeby powstrzymywać trochę tych młodych, oblewać ich na egzaminach, nie dopuszczać.

- Za dużo wypuszczamy mistrzów. Potem oni otwierają swoje cukiernie i...

- A co ze skarbówką? Nie za dużo będziemy mieli pracowników? Łucykowi kończy się w tym roku staż. Zwolnimy go? Też, jak sam mówiłeś jest dobry, dużo już umie.

- No tak, ale Szwarca trzeba przyjąć. Musimy go przyjąć.

- Ma przyjść przed zamknięciem. Zjedz obiad, prześpij się z godzinkę - obudzę cię jak przyjdzie.

- Och, Mery, jesteś taka kochana. Codziennie dziękuję Bogu, że mi cię zesał.

Przed Mery w pomieszczeniu biurowym na krześle po raz drugi siedzi postawny mężczyzna. Teraz, z trochę rozwichrzoną czupryną nie bardzo słuchającą się chyba resztek brylantyny, czerwony na twarzy, z rozluźnionym pod szyją kołnierzykiem i krawatem, w rozpiętej marynarce. Mimo, że odgradzał ich szeroki blat biurka, Mery od razu wyczuła od przybyłego zgniły zapach alkoholu.

- Mąż zaraz zejdzie z góry... – wycedziła przez zęby, już zła z powodu wyczuwalnego zapachu.

- Poczekam, poczekam na szefa. - Zawsze zależało mu na mnie, lubiliśmy się. Miałem najwyższą pensję, byłem dobry, dobry... – przybytemu rozwiązywał się język, który się jeszcze nie plątał, ale już w jego wypowiedziach, zachowaniu ujawniała się pewność siebie pobudzona alkoholem. Mery знаła ten stan. Jeszcze jeden, dwa kieliszki i, jak ojciec... - już zaczęłby bełkotać. - Czyżby i ten był alkoholikiem?

- O, szef! – mężczyzna poderwał się błyskawicznie z krzesła i śmiało przywarł na powitanie do wchodzącego Klemensa. Obaj poklepywali się przez chwilę po plecach.

- Najlepszy, byłem najlepszy prawda? – domagał się pochwał trochę natrętnie przybyły.

Klemens w końcu oderwał się od mężczyzny i usiadł po drugiej stronie biurka, tuż przy Mery.

- I co, wróciłeś? - Ile to już minęło... - chyba trzymali cię przeszło trzy lata? Dużo się u nas przez ten czas zmieniło... Ty, ty też zmężniałeś, wydoroślałeś. Pamiętam, jak przyszedłeś do mnie na naukę – taki, taki knypek – ręka Klemensa chwilę fruwała nad podłogą - a teraz kawał chłopca!

Mężczyzna z wypiekami na twarzy, szczerząc zęby, ciągle stojąc, zaczął prężyć się jeszcze bardziej. - No i co, przyjmie mnie szef? – zapytał w końcu, siadając z rozmachem na czekającym na niego krześle.

Klemens również zauważył alkoholowe podniecenie przybyłego i nim odpowiedział, porozumiewawczo spojrzał na Mery. - No, muszę najpierw porobić rozszady z zatrudnionymi. Wiesz, że zawsze miałem ułożoną, dobrze zorganizowaną pracę na produkcji. Musiałbym zrobić dla ciebie miejsce.

- Mógłbym od zaraz. Trzymali mnie w marynarce przeszło trzy i pół roku.

- Nie. Wróci pan do nas za tydzień - wtedy porozmawiamy, powiemy panu... – nagle wtrąciła się do rozmowy Mery, porozumiewawczo szturchając nogą Klemensa.

- To co, co panie szefie? – patrząc tylko w stronę Klemensa dopytywał coraz nachalniej przybyły - ignorując słowa kobiety.

- Tak, tak, jak powiedziała żona, za tydzień - przyjdź za tydzień, w przyszły poniedziałek - wtedy zobaczymy. Klemens wstał z krzesła, po to, by tamten zrobił to samo.

- Do poniedziałku – nie podając ręki ociągającemu się byłemu pracownikowi otworzył drzwi a potem zamknął je szybko za wychodzącym. Chciał coś powiedzieć, ale Mery mówiła już pierwsza:

- Nie podoba mi się, pije - czułeś? Mam jakieś dziwne przeczucie. Mamy komplet pracowników, wszystko idzie dobrze, cukiernia pracuje pełną parą. - Chcesz go przyjąć?

- Był dobry - próbował bronić byłego pracownika Klemens. - Wiesz, wyszedł z wojska, źle by się stało, gdyby poszedł do konkurencji. Umie wszystko, zna nasze receptury... - inni zgarną go od razu.

- Jak chcesz - tym razem szybko skapitulowała Mery.

W poniedziałek bez obecności Klemensa Mery zakomunikowała przybytemu mężczyźnie – teraz znowu zadbanemu, pachnącemu wodą po goleniu, ulizanemu przy pomocy brylantyny, że; od pierwszego (za pięć dni) może przyjść do pracy.

- Niech pamięta - tak bezosobowo powiedziała, gdy opuszczał pomieszczenie – niech pamięta, żeby mi nie podpadł. Żadnych wygłupów, żadnego alkoholu - bo wyleci momentalnie!

Gerard Szwarc potrzebował dwóch miesięcy na ustawienie, podporządkowanie sobie całego produkcyjnego zaplecza cukierni według swoich zasad. W wojsku, w marynarce nie pływał na żadnych tratowcach, jak się chętnie wokoło, ale zaraz po przysiędze trafił do kasyna oficerskiego, gdzie prędko stał się numerem jeden wśród zatrudnionych niezawodowych żołnierzy. Przełożeni szybko zorientowali się, jaką wartość przedstawia poborowy, jaki otrzymali skarb. Szwarc nie tylko wytwarzał przepyszne wyroby cukiernicze w ich oficerskim kasynie, nie tylko robił najlepsze torty dla kasynowej świty, ale... Nocami malował, kopiował olejne obrazy o tematyce marynistycznej, które zaczęły zapętniać ściany kasyna. W wojsku robił furorę, a nawet sporo zarabiał w różny kombinacyjny sposób. Miał nawet szansę zostać na zawodowego. Tylko, że Gerard Szwarc chciał być wolnym człowiekiem. Nikt mu nie może rozkazywać, więzić go, a poza tym... alkohol. Resztkami świadomości jeszcze się bronił, wiedział, że w wojsku, w kasynie rozpiłby się na amen. Teraz, po upewnieniu się, że zostanie przyjęty do pracy, do swojego starego zakładu (przez tą... – „przez tą suczkę” - jak o niej pomyślał w chwili jej poznania) - pomyślał, że dobrze się składa, bo będzie miał okazję skończyć z alkoholem. Koniec, koniec! – „Suczka” go przypilnuje!

Gerard Szwarc był dobrym, zdolnym, nieustrudzonym fachowcem. Pracował po dwanaście, czternaście godzin na dobę. Nieraz nocą, szczególnie przed świętami przesypiał po parę godzin na stole, przykryty kocem i ponownie zabierał się do pracy, skoro świt. Klemens nie mógł się nadziwić jego pracowitości i jego umiejętnościom trzymania w garści - po wojskowemu - całej załogi na produkcji. Teraz nareszcie, spokojnie, z jeszcze większym zaangażowaniem mógł zajmować się budową domu, jak i...

Zaczął znajdować w sobie coraz więcej pasji i czasu, na prace społeczne. W Cechu powierzono mu zaszczytną funkcję Starszego Cechu Cukierników i Piekarzy. Również w Izbie Rzemieślniczej zasiadł w Radzie Izby. Od dłuższego też czasu, był członkiem Stronnictwa Demokratycznego, gdzie powierzono mu szybciotko funkcję „Przewodniczącego Koła Stronnictwa Demokratycznego przy Izbie Rzemieślniczej”. Był bardzo, bardzo zajęтым człowiekiem, zasiadającym na rzemieślniczym świeczniku. Liczono się z nim i pozycja Klemensa Klamke ciągle rosła.

Rosła również pozycja Mery i to nie tylko w cukierni. Którejś nocy, kiedy leżeli oboje błogo zmęczeni, Klemens zaspokojony do granic, przyklejony do Mery szeptał:

- Chciałbym żebyśmy się w końcu pobrali... Tak mi z tobą dobrze, tak cudownie - mówiąc, chciał, żeby Mery poczuła ten rozsadzający go nie tylko w tej chwili nadmiar szczęścia. – Tylko, że ta skarbówka... - (gdzieś spod skóry wypętlł Klemens rzemiocha) - znowu się dopieprzają. To już trzecia kontrola w ciągu dwóch miesięcy, nie licząc tych z ZUSu, czy Sanepidu. - Szukają, szperają - cud, że wtedy zdobyłaś lewe rachunki na mąkę i cukier. Skurczybyki, sprawdzają, obliczają, zsumowują zakupiony towar, porównując ze sprzedażą. – Chcą nas ujać i znowu rąbnąć domiar. – Musimy być ostrożni, tym bardziej teraz gdy budujemy dom... Dobrze, że budujemy go na ciebie, że odnalazłaś tą, jakąś tam rodzinę w NR Fie - w razie czego, będziemy się tłumaczyć, że to od nich, ale...

- Klemens, kochany, ja tak bym chciała, żebyś mimo wszystko się ze mną ożenił, żebyśmy byli małżeństwem. – Zobacz, choćby dla pracowników - głupio mi przed nimi. Sama nie wiem, kim mam być dla nich... Moi rodzice też mi marudzą - Kim jesteś? - Jesteś jego kurwą! - wykrzykiwał niedawno mój ojciec ochlapus.

- Ja też tego pragnę Mery. Wiesz, jak cię kocham. - Nie patrzmy na nic. -
Złożmy papiery w urzędzie, nie patrzmy na nic! Przecież teraz możemy wziąć
nawet ślub kościelny. Agnes już nie ma, ty jesteś wolna - chciałybyś?

- Tak. Chciałabym, chciała, i... Chciałabym dać ci dziecko.

- Och, Mery... Z Agnes nie mogłem mieć dzieci, ale, gdybyś ty dała mi
chłopca - albo nawet dziewczynkę... - Och, Mery, Mery.

Ponownie przywarł do niej. Im bardziej schodził w dół nieruchomo leżącej,
zajętej jakimiś myślami Mery - tym bardziej wyczuwał połączone w jeden - jego i jej
zapachy. Znowu czuł w sobie żądzę. Ale, trzeci raz... - to, tym razem, było już ponad
jego siły. - Niestety, codzienne wypijanie kubka tłustej śmietany już nie tak bardzo
miało wpływ na jego wigor.

- Za to Mery, po podjętej zdecydowanej decyzji o ślubie - znowu była w
radosnej pełnej gotowości. - Pragnęła go, chciała chociaż jego dłoni, jego palców...
- więc, klęczał Klemens nad rozwartymi udami Mery i pracował, pracował tak, jak
często bywało kiedyś - gdy był uczniem u ojca Agnes i ubijał białko na pianę.

Mijały dni, wypełnione ponad siły prowadzeniem cukierni, jak i budową i
wykańczaniem domu. Klemensowi dodatkowo, coraz więcej przybywało prac
funkcyjnych w Cechu i Izbie. Przychodził pod wieczór do domu wyczerpany i...
coraz częściej po alkoholu. Potrzebował teraz więcej snu, czuł się coraz bardziej
przemęczony. Gubił gdzieś po drodze dotychczasową chciwą seksualną witalność.

- Jak dobrze, że jest Gerard! Wszystko trzyma w garści - cały zakład! -
Klemens ciągle utwierdzał się, że dobrze postąpił zatrudniając ponownie swojego
mistrza.

Często wyczuwam od niego alkohol... - sama nie wiedzieć czemu, wtrącała
wtedy Mery, gdy go próbował chwalić Klemens.

- Nie chciałam ci o tym mówić, ale... Kiedyś, coś mnie tknęło, żeby
sprawdzić i, z rana, przed otwarciem, zeszłam do cukierni od zaplecza i... Zastałam
Gerarda z Jaśką - pieprzyli się. W tym samym miejscu co my kiedyś - za ladą.
Wyobraź sobie, w biały dzień! Z samego rana, nim przyszła Halinka. Nie mówiłam ci
o tym, ale od razu gówniarę wyrzuciłam i znalazłam na jej miejsce nową. Nie
możemy Gerardowi ze wszystkim ufać. On nie może mieć takich zażyłości i takiego

wplywu na wszystkich pracowników. Muszę ich wszystkich pilnować, sprawdzać. Nie panujemy już nad wszystkim - a Gerard - on się za bardzo panoszy, rządzi. Nie ufam mu tak do końca.

- Wiesz, zdrowy, młody, samotny samiec, potrzebuje...

- Niech się pieprzą, ale nie w pracy. Nie dopuszczę do takiej zażyłości. Tu nie burdel! - Nigdy nie sprawdzisz, ile wyszło towaru z produkcji, a ile sprzedali poza kasą. Jak się pieprzą - to mogą razem i kraść.

- No, coś ty, Mery, myślisz, że...? – był z niej dumny, taka młoda i taka zaradna, przebiegła.

- Nauczyło mnie życie, by nigdy, nikomu nie ufać.

Mery, szefowała całą gębą – wszędzie jest jej pełno! Bywało, że nawet w nocy wpadała na dół na produkcję, i podglądała, węszyła... Nieraz umyślnie starała się być blisko Gerarda, żeby niuchać, wyczuć, czy czasami nie pił alkoholu. Kiedy by jednak Mery nie zeszła na dół - przystojniak z wąsem, w drewniakach i w białych lnianych portkach (przez które uwypuklało się to i owo), w krótkim kitlu, zapiętym niedbale na jeden guzik, z odsłoniętym, owłosionym torsem (jak małpa! - myślała nieraz w duchu Mery) - robił swoje całkowicie pochłonięty pracą. Kiedy on wypoczywa? – dziwiła się w duchu.

- Mery, oprócz „trzymania za mordę” (jak wyrażała się często), ludzi w cukierni, również dużo inwencji przejawiała w wykończaniu willi. Nie mogła doczekać się już końca budowy. Musi i tu wszystkiego dopilnować, mieć na wszystko oko. - Jak dobrze pójdzie, to na święta się wprowadzą. Stolarze już ukończyli kuchnię. – Ładnie, ładnie wyszła nam ta kuchnia. Dobry jest ten stolarz z Kartuz. Nie musiałam ich wiele pilnować...

- Tak, całą wykończeniówką zajmowała się Mery i robiła to naprawdę z dużym smakiem. Żyła tym w końcu własnym domem – uszczęśliwiając przy okazji jeszcze bardziej Klemensa.

- Parkiet wyszedł nie za jasny? - Klemens próbował udawać po swojemu, że ze znanstwem włącza się w wykończeniowe moszczenie ich szczęśliwego gniazdka, ale już teraz, bardziej pochłaniały go sprawy Cechu i Izby - tam się realizował, tam stawał się coraz większą fiszą. Miał już w Izbie swój gabinet.

- Nie, nie - jak parkiet będzie przykryty po części dywanem... jak staną już meble - jest dobrze, super! – odpowiadała wniebowzięta, szczęśliwa Mery, wodząc rozpromienionymi oczami po wnętrzu salonu. Cieszyli się, cieszyli się oboje swoim nowym domem, bogatą, piękną willą, cieszyli się swoim wspólnym szczęśliwszym życiem.

Tak bardzo pragnęłam zamieszkać u siebie. Odciąć się w końcu raz na zawsze, od tej mojej rodzinnej nory - jak i nie czuć już więcej na sobie wzroku i zapachu Agnes... - myślała nieraz w duchu Mery – „Dopięłam swego” – chwaliła samą siebie w duchu.

Tak myślała, ale... na ścianach nowego domu, już wisały stare, jeszcze po rodzicach Agnes, olejne obrazy – Mery powiesiła je, bo zdawała sobie przede wszystkim sprawę z ich rynkowej wartości. Również przedpokój oblepiła czarnymi grafikami, które w zasadzie w ogóle jej się nie podobały – „Nie wiem, czemu przywołują w mojej wyobraźni cmentarz” – mawiała, ale jakoś tak instynktownie wyczuwała ich materialną wartość. W dwóch kątach salonu stały ciężkie, bogato inkrustowane zegary. Nakręcone z lubością przez Klemensa, w dzień i w nocy ogłaszały swym doniosłym biciem szczęśliwe życie tego domu. Mery, nie pozbyła się też, perskich dywanów, porcelany, kryształów, które kiedyś, kiedyś jeszcze przed wojną, tak skrzętnie gromadzili zamożni Bauerowie. Duży, przeszło osiemdziesięciu metrowy salon, zdobił nowy stołowy komplet; stół, sześć krzeseł, bufet i kredens - zrobione wszystko na zamówienie u prywaciarza. Stolik ze szklanym blatem okalała pikowana, welurowa kanapa i dwa ciężkie fotele. W salonie, pod jedną ze ścian, usadowiło się też nowe - załatwiona po znajomości węgierska meblościanka, z wnęką na radziecki telewizor. – Pięknie, pięknie! - Mery przed samą sobą chełpiła się - tym swoim na wskroś nowoczesnym, wysmakowanym stylem! W czasach PRL, willa na zewnątrz, jak i we wnętrzu aż kuła w oczy „pięknem i bogactwem”.

- A do starego mieszkania przeniesiemy magazyn. Ciągłe na dole za mało mamy pomieszczeń potrzebnych do produkcji – zadecydowała któregoś dnia Mery.

Do świąt Wielkanocnych była tylko chwila. Na produkcji przygotowywano się do żniw, doba nie miała końca.

Zbliżał się koniec dnia. Ekspedientki robiły fajrantowe porządki. Nowo przyjęta dziewczyna - tak jak kiedyś ona Maryśka, myła podłogę... – Tylko, że ta, bazgrała tę podłogę nieumiejętnie posługując się mokrą, źle wykręconą ścierą.

- Co za niezdara! Tylko rozmazuje bród! - Mery, wszystkowidzącymi oczami szefowej, przygląda się sprzątającej dziewczynie. - Zaraz chyba zabiorę jej tę ryżową szczotę i tę ścierę i pokażę, jak się sprząta - nie wytrzymam! - Ale nie, nawet na nią nie krzyknęła - będzie dobrą szefową.

– Jednak nie. - Mery nie wytrzymuje - może to zazdrość o tej gówniary szczęśliwsze, lepsze dzieciństwo – lepsze od tego, które miała ona sama - spowodowała, że...

- Nie sprzątałaś nigdy w domu - cooo? Mamuśka ci nie pozwalała się przepracowywać, przemęczać... - Niech tylko Mirellka się uczy, uczy... (- och jak ładnie Mery wyeksponowała te dwa „ll”) - Ucz się córeczko, ucz. Mama za ciebie posprząta... - Tak było w waszym domu?

- Taaak... - dziewczyna nie śmiała zaprzeczyć szefowej.

- Jak tu, u nas, nie nauczysz się pracy, to... Chłop cię nauczy - zobaczysz!

Mery poślinkała ponownie palce i powróciła do przeliczania banknotów z utargu – czyżby, stawiała się już tamtą, dawną Agnes?

Z zaplecza, z pustą ogromną blachą na ciastka, wyszedł Gerard. Już od dawna on zarządzał całą produkcją. Nikt mu niczego nie nakazywał, nikt go nie pouczał. On wiedział, jakie niesprzedane torty, ciasta, ciastka miały wrócić z powrotem na zaplecze - on wiedział, co z nimi zrobić, żeby jutro znowu ożyły, żeby były pachnące, świeżutkie.

- Przepraszam szefowo... Uniósł szklany blat lady i sprawnie zaczął wybierać łopatką pozostałe, niesprzedane wyroby. Miał na sobie tylko jak zwykle płócienne szerokie spodnie, które w talii podtrzymywała zawiązana na kokardę tasiemka i wpuszczony w nie biały tiszert. Mery ukradkiem spoglądała na jego stalowe bicepsy, mocne dłonie, na jego wyuczoną zawodową pewność tego, co robił.

- Szefowo, chciałbym porozmawiać z szefostwem...

- No, co Gerard by chciał? - Mery pierwszy raz zwróciła się do pracownika prawie po imieniu. Utarg był znowu wyjątkowo okazały, to wprowiło ją w dobry nastrój - jak kiedyś Agnes?

- Powiem, jak będzie pani razem z szefem - wolę.

- Czemu Gerard nie chce powiedzieć tego teraz, tylko mnie?

- Nie, teraz nie... Chciałbym, żebyście zdecydowali razem. Pani i szef. Był blisko niej, nozdrza Mery próbowały wykorzystać okazję... Wyczuwała nie tylko męski, fizyczny pot spod jego owłosionych pach, ale... - Nie, alkoholu nie czuję... – chociaż... W momencie, kiedy Gerard wyjmował łypatką ostatnie ciastka z samego końca lady, jego twarz znalazła się blisko jej twarzy - Tak alkohol!

- Porozmawiamy w biurze. Niech przyjdzie! Mery wzięła pod pachę (tak, jak kiedyś robiła to Agnes) karton wypełniony banknotami i poszła na zaplecze. Dokończywszy zbieranie ciastek do dużej blachy, Gerard podążył za szefową. Dziewczyny dalej uwijały się z porządkami kończącymi dzień.

- Ja ci już Gerard nieraz mówiłam o alkoholu, i co? - Piłeś, piłeś znowu!

- Szefowo, muszę, muszę przecież próbować, nim dodam do ciast... - O, dzisiaj na przykład, potrzebowałam likier miętowy - mam chuchnąć?

- Co mi Gerard tu... - Mów - co mi chciałeś powiedzieć? – Ona szefowa - w końcu zdecydowała się na „ty” - do tego silnego, mężczyzny, do pracownika mającego w jednym palcu wszelakie tajniki cukierni. Już dawno zajrzała do dokumentów. Był pięć lat starszy od niej. – Co mi chciałeś... Co mi Gerard ma do powiedzenia? – powtórzyła pytanie.

- Szefowo...

No, co? - tak, to „szefowo” łaskotało ją - Noooo, co?

- Ale wolałbym, gdybyście byli razem z szefem... Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby i był szef...

- Mów, mów o co chodzi, Gerardzie... – wyraźnie rozpierała ją ciekawość.

- Nie, ja sobie tylko... Tak sobie pomyślałem, że... Przeprowadziliście się do willi, ja i tak prawie na stałe mieszkam w tej cukierni. Oddałem się wam całkowicie. Znaczący pracy... - To wasze mieszkanie, jeden pokój... Czy mógłbym tam zamieszkać? Potrącalibyście mi z pensji, żyłbym jak człowiek.

Mery nie przyszłoby coś takiego do głowy. - To prawda, był potrzebny firmie, był zdolny, pracowity, oddany im. Kiedy by nie weszła do cukierni, tyrał, był zajęty, zapracowany. Były też tego efekty - cukiernia prosperowała jak nigdy.

Tylko kiedyś... Mery zapomniała wziąć z biura niezbędnej pieczętki. Było już późno – ale, jutro z samego rana miała stawić się w Sanepidzie. Do zakładu wślizgnęła się drzwiami od zaplecza. Cicho, na palcach - sama dziwić się sobie, dlaczego tak postępuje, tak się skrada. Doszła korytarzem do produkcyjnego pomieszczenia. Wśród krzątających się pracowników, na starym taborecie, chyba jeszcze pamiętającym Niemca, odpoczywał Gerard. Ubrany tylko w płóciennie robocze, białe spodnie, popijał z butelki piwo i palił papierosa. Mery już przestąpiła próg, już prawie była w środku, już chciała opieprzyć go za to picie, za to palenie na produkcji. – Wszyscy przecież wiedzieli, że na produkcji nie ma żadnego picia, palenia - ale, cofnęła się i zaczęła nadśłuchiwać. Mimo obracających się w pobliżu mieszalnych bębnow, monotonnie zakłócających nocną ciszę, Mery schowana za framugą drzwi słyszała wszystko... A Gerard, siedząc do niej tyłem, zaciągając się papierosem, popijając piwo - mówił, pewnym siebie, spokojnym, głosem:

- Co tam stary, stary już jej nie zaspokaja. Co on tam może... A ona – ona potrzebuje! - Widać to po niej. Zauważyliście, jak się porusza, jak się nosi, jak się ubiera?! - Podoba mi się - fajna raszpla! Jeszcze, jeszcze ją kiedyś przelecę...

Nie weszła do nich. Jeszcze w pomieszczeniu biurowym, dochodziły do niej rubaszne śmiechy, gdy zabierała potrzebną pieczętkę i dokumenty. Wyszła tak samo bezszelestnie - niezauważona.

Mery, szefowa Mery, przyłapała go też kiedyś i po raz drugi... Nie opowiedziała o tym zdarzeniu nikomu, nawet Klemensowi.

Była już późna noc. Dawno po zakończeniu pracy drugiej zmiany. Mery wchodzi cichaczem, rzadko otwieranymi drzwiami z klatki schodowej, sama nie bardzo przyznając się przed sobą, po co się skrada, po co to robi i, o co jej chodzi... - już, już jest blisko... - jeszcze go nie widzi, ale go słyszy... Słyszy jak Gerard wyśpiewuje melodię, którą też często nucił przy pracy:

...Może znajdziesz innego...

Z lepszym sercem od meego...

Może znajdziesz – zaastaaanów się

Ja mam czas, ja poczeekaaaaam ...

Mery już jest w pobliżu zaplecza socjalnego, gdzie pracownicy przebierają się i biorą po pracy prysznic. Właśnie stamtąd dobiega głos Gerarda...

Gerard wiedział, był całkowicie przekonany, że jest w cukierni sam. Drzwi socjalnego zaplecza otwarte na oścież, a on stoi teraz pod prysznicem, w strugach wody, odwrócony do niej tyłem. – Stoi z tymi swoimi szerokimi barami i umięśnionymi jak zad konia pośladkami. Mery widzi go dobrze. Mery już chce się wycofać, uciec od tego widoku od razu – wie, że powinna uciec. - Nie powinna patrzeć na to, widzieć tego, jak on... A on - jakby specjalnie dla niej, jakby wiedział, że ona patrzy - odwraca się w jej stronę przodem ze sterczącym, całym w pianie penisem i...

Mery zamarła, ale patrzy... - Widzi jego białe zaciśnięte zęby, przez które chyba syczy z rozkoszy, gdy jego ręka nadaje coraz szybszy rytm... Niezauważona, schowana za stojący regał, ciągle patrzy, patrzy i... Jej ręka wślizguje się pod spódniczkę, odchyła skąpe jedwabne majtki i... I, Mery kończy, kończy razem z Gerardem.

On jej nie widzi, nie słyszy też trzaśnięcia drzwiami.

- A szefowa, co myśli szefowa? – Gerard wytrącił Mery z zadumy, wyrwał z tamtego jej wspomnienia.

- Nie wiem... Zaskoczyłeś mnie. Zagospodarowaliśmy te pokoje na magazyny. - Nie wiem - porozmawiaj jednak z mężem. (Z mężem!)

- A szefowa by się zgodziła? - Gerard nie daje za wygraną, szukając na twarzy kobiety nadziei.

- Zobaczymy. Porozmawiamy z mężem.

Mieszkali już w nowej willi. Klemens był bardzo szczęśliwym człowiekiem. Zresztą Mery też. Mery z dnia na dzień stawała się Panią na włościach, damą. Na ładnie nakrytych stołach z poniemiecką porcelanową zastawą wydawała wykwintne przyjęcia, Upijali się u nich partyjni bonzowie, znani profesorowie,

ordynatorzy, a nawet komendant milicji i namawiający ich ciągle na ślub proboszcz z ich parafii. Klemens jeździł już innym, nowszym mercedesem, a właściwie częściej jeździła nim Mery - od momentu, gdy Klemens przyniósł jej w „zębach” prawo jazdy. Od dawna też, Mery już samoistnie zarządza cukiernią, jak i domem. Klemens całkowicie zastępowany na produkcji przez Gerarda, wykorzystując taką sytuację, jeszcze bardziej pisał się na wyżyny działacza rzemieślniczego, samorządowego, partyjnego i... politycznego. Tak, Klemens stawał się politykiem!

Był wieczór, jedli późny obiad, podawany przez zatrudnioną od paru miesięcy, poleconą przez księdza gosposię.

- Za tłusto! Prosiłem, żeby pieczeń cielęca nie opływała takim tłuszczem!

- Ale proboszcz tak lubił, to maselko... – broniła się gosposia, gdy grymasił Klemens i wtórowała mu Mery, próbując gosposię pouczać.

- Wiesz, czego chce Gerard? - Mery ponownie zwróciła się do Klemensa podając gosposi jego pusty talerz. - Wyobraź sobie, że on chce żebyśmy mu oddali jeden pokój, na górze. Chciałby w nim zamieszkać...

- Mamy tam przecież magazyn, Gerard chce w nim zamieszkać? - zdziwił się Klemens.

- No, wymyślił sobie.

- Ciężko zapiernicza – z pełną buzią, mieląc jednocześnie strawę i temat rozważał Klemens. Wiem, że mieszka kątem u swojej ciotki. Należałoby mu pomóc, jest u mnie od chłopaka. Pamiętam, jak przyprowadził go jego wujek... – Klemens zaczął przeciągać historię Gerarda, ale niecierpliwie przerwała mu Mery.

- Wiesz kochanie, zrobisz jak zechcesz, to zależy od ciebie... - Zrobisz, jak chcesz. Ja się boję, że on pije. Tylko to.

- Zapieprza, zapieprza dzień i noc. Nie dziw mu się, że czasami wypije.

- Tylko, że... łazienka jest akurat w tym drugim pokoju, On by nie mógł... - miękła Mery.

- Ale, on i tak korzysta z toalety na dole. Ma tam prysznic i wszystko. U góry by tylko spał. W końcu mieszkałby po ludzku... - kontemplował Klemens, już prawie się zgadzając.

- Dobrze, powiem mu, że się zgodziłeś, ale jak zobaczymy go pijanego, to...

Niespodziewanie dla samej siebie, Mery wzięła się z chęcią i energią za przystosowanie pokoju do zamieszkania przez... mężczyznę.

Któregoś dnia, po zamknięciu sklepu, przyszła na zaplecze, stanęła przy Gerardzie.

- Gerardzie! Zostaw wszystko i chodź ze mną na górę.

Natychmiast przerwał pracę nad jakimś weselnym tortem i nim zdjął z siebie popačkany kremami fartuch, wytarł w niego starannie ręce. W roboczym, lnianym komplecie podążył za szefową. Echo niosło po klatce uderzenia jego drewniaków o marmurowe, jeszcze poniemieckie schody. Mery szła parę stopni przed nim. Gerard łakomie obserwował jej tańczące biodra i pośladki. - Czuł, czuł, że jej ciało porusza się w tej chwili tylko dla niego - dla młodego, silnego mężczyzny.

- Otwieraj – podając mu klucze powiedziała Mery uśmiechając się tajemniczo, gdy oboje stanęli przed drzwiami.

Od kiedy zrobili na piętrze magazyn, Gerard tu bywał. Znał te pomieszczenia, ale, ostatnio był tu jeszcze przed adaptacją pokoju dla niego. - Otwieraj – ruchem głowy ponagliła Mery, wskazując jeszcze raz na drzwi.

Firanki w oknach, szafa, stół, na stole obrusik, pięć białych goździków w kryształowym wazonie... Szeroki tapczan, lustro, stolik ze stojącym na nim starym radiem. Wytarty czasem, ale dodający ciepła poniemiecki dywan na podłodze. Obrazki – poniemieckie lanszafciki na ścianach.

- Radio przyniosłam od naprawy, gra – powiedziała Mery w momencie, gdy śmiejące się oczy Gerarda lustrowały pokój, a jego otwarta gęba zaniemówiła.

- Jaaaa pierniczę! – oszołomiony i zachwycony do granic tym, co widzi, tym co uwiła dla niego szefowa, zaczął wyjąkiwać trochę zaniepokojony:

– Aaaa, aa, gdzie będzie magazyn?

- W tamtym pokoju i tu... – wskazała ręką na wiszącą od sufitu kotarę - za kotarą umieściłam resztę najbardziej potrzebnych towarów. Wszystko inne musi się zmieścić na dole i w garażu, nie ma innej możliwości - coś, za coś. Inaczej nie wygospodarowałabym tego pokoju dla ciebie. Nie uwolnisz się tylko od tych magazynowych zapachów. I pamiętaj! – pogroziła mu palcem - Żadnego sprowadzania obcych, żadnego alkoholu! Tu jest również magazyn!

- Dziękuję, dziękuję – ujął jej prawą rękę w swoje dłonie i... Mery myślała, że będzie składał na niej dziękczynne pocałunki, ale Gerard przycisnął mocno, mocno jej dłoń do swojej szerokiej piersi, bardziej z lewej strony i patrząc jej w oczy ciągle powtarzał: dziękuję, dziękuję... - Mery lekko zmieszała się, nawet się zarumieniła, ale szybko zebrała się w sobie uwalniając rękę, potem skierowała się do wyjścia, wychodząc, zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Szefowo! Szefowo, dziękuję, dziękuję! – Gerard doskoczył do drzwi, wybiegł na klatkę, chciał jeszcze szefową zatrzymać i dalej dziękować, dziękować, ale Mery kołysząc biodrami już schodziła po schodach, nie odwracając się do... Tego młodego, silnego mężczyzny.

Już któryś raz Klemens wrócił późno do domu. - Mieeeeliśmy zaaaaarząd – wybełkotał ledwie trzymając się na nogach. Musiała doprowadzić go do sypialni, rozebrać i wałnąć na wyro - jak kiedyś swojego ojca. - O, bracie - niedoczekanie twoje! Muszę się wziąć za ciebie! Przestaniesz pić – albo... Nie znosiła pijaków! Nigdy nie zatrze w sobie wspomnień z domu. Nigdy nie zapomni ciągle pijanego na umór ojca, bełkoczącej matki. Teraz ten – coraz częściej... Mery jest wściekła! Mieli iść na koncert do filharmonii. (Tak, na koncert do filharmonii! - mieli imienne zaproszenie!) - I co teraz? Uchłał się i chrapie na całą willę. - Byliby wśród elity, widzieliby ich ludzie, na których Mery tak bardzo teraz zależy. Musi potrząsnąć mężem. - Mężem? Muszę i to załatwić jak najszybciej, czas ucieka...

Mery nigdy nie stała w kolejkach po żywność, czy jakieś ciuchy - tak jak bywało z większością społeczeństwa w tamtych komuchowatych, peerelowskich czasach. Nie wyczekiwała też na przydziały, czy jakieś tam głupie zezwolenia. Umiała wszystko załatwić, zorganizować – ślub załatwi też.

W Urzędzie Cywilnym nie było problemu - już przy niej urzędniczek zaczęły dzielić się przyniesionym przez nią smakowitym tortem i kilogramową paczką kawy. Również w kościele, od dawna nie mógł się doczekać na ich celebrację zaślubin, sam ksiądz prałat. Początkowo ślub miał być cichy, spokojny, bez rozgłosu - wyszło inaczej. Przyjaciół Klemensa – właściciel znanej we Wrzeszczu restauracji, w której bardzo często na zamkniętych przyjęciach bawiła się cała trójmiejska śmietanka, przygotował im „skromne” przyjęcie weselne, na przeszło sto osób.

Było wspaniale. Goście bawili się przy wyśmienitej orkiestrze, jedli i pili na umór do świtu. Również ci najważniejsi: Arcybiskup, ksiądz Prałat, Pierwszy Sekretarz, Komendant Policji, Ordynator z Akademii Medycznej, mecenas, prezesi i urzędnicy wysokich szczebli. Łał się rosyjski „szampan”, koniaki i Wyborowa. Zajadano się kawiozem, łososiami, faszerowanymi szczupakami, którym aż oczy wychodziły na wierzch ze zdziwienia - że tak bogato bawią się ludzie w PRL-u. Na przyjęciu zabrakło jedynie rodziców i rodzeństwa Mery. Tak zdecydowała ona sama – nie pasowali do otoczenia. Mogliby tylko wszystko popsuć.

Mery... powinniśmy też zrobić przyjęcie w cukierni dla pracowników. Tyle tego zostało... - z nie do końca utraconą przytomnością obudził się na drugi dzień po weselu Klemens.

Nazajutrz, w pomieszczeniu produkcyjnym zwanym deserownią Mery dopilnowała, żeby zestawione stoły, na których zazwyczaj formowano i strojono torty, ciasta i ciastka nakryto białymi obrusami. Zwieziono z weselnej restauracji pozostałości po gościach, coś tam jeszcze Mery wyciągnęła z lodówki, dorobiła jakieś sałatki i sosy i...

W niedzielę, zaraz po zamknięciu cukierni zaczęto pracowniczą ucztę - ku czci nowożeńców, szefostwa.

- Ale was jest tu dużo! – Zdziwiła się Mery patrząc na zasiadających przy stołach pracowników. Rzeczywiście, za stołami, oprócz ekspedientek, uczniów, czeladników, mistrzów i stażystów, zasiadali jeszcze zatrudniani na czarno dwaj emeryci dochodzący zwykle na czas zbliżających się świątecznych żniw, dwóch dostawców, kierowca, i złota rączka pan Fredek – niezbędny mechanik od wszystkiego.

- Ale mi się ta firma rozrosła! – Klemens jeszcze nie ostygły, prawie fioletowy na twarzy po sobotnim weselu w restauracji i niedzielnym porannym leczeniu kaca klinem, stał teraz przed biesiadującymi z lekka się chwiejąc. Z kieliszka ulewał mu się alkohol kapiąc na podłogę:

– Kooochani, moi współpracoooownicy... - wiedział, że powinien, tak jak w dniu ślubu w restauracji, wygłosić mądrą mowę. Umie już to robić, wyedukował się

- teraz jest politykiem! – Kooochani, praaaacujecie u mnie... Myyy, moja żooona i ja, nasz ślub, waaasza szeeefowa... - Słuuuchajcie się jej. - Do ciebie mówię Gerard, paaamiętaj! – zwrócił się w stronę swojego najlepszego pracownika, grożąc mu, niby żartem palcem. - Zzzz Meery postanooowiliśmy zaalegalizować nasze uczucia... Naaszą miłość. Mery, moja żona, nie tylko jako żooona, ale jako szefowa, sprawdziła się... Sami widzicieee... Nasza firma idzie do przooodu. Ja, w piąteeek... Poproszono mnie... żebym kandydował naaaa posła do sejmu - mówiąc to wyprostował się, próbując przyjąć jak najwznioślejszą postawę. - Wierście mi - nie chciałem, aaale... - Czy mooogłem odmówić - mając takie poooparcie! Gdy poprosił mnie o to, sam pierwwwszy sekretarz? - Zgodziłem się, booo liczę na was. - Nie zawwwwiedziecie mnie... Gerardzie, maaasz od nas serce, mieszkasz u nas - wiem, że się odwdzięczysz, potrafisz, liczę na ciebie... - Kieliszek był już tylko w połowie pełen, wódka ciągle kapłała Klemensowi po dłoni. – Kooochani, coś tu dużo gadać. Wypijmy na zdrowie! Za Mery! Za firmę!

- Stooo laaat, stoooo laaat! Zdrowie młodej pary! - krzykliwy śpiew rozbrzmiewał do świtu po całej cukierni, przedostając się klatką schodową aż po ostatnie piętra, aż po strych kamienicy - przeszkadzając w spokojnym śnie zawistnym sąsiadom, zazdroszczącym „bogactwa” właścicielom cukierni, więc - nie omieszkali zadzwonić po milicję. Sprowadzony nad ranem patrol, na stojąco, w biurze, zajadał się resztkami ze stołu, przechylając ukradkiem na chybcika, kielich po kielichu, łaskawie przy tym prosząc przyszłego posła o wyciszenie.

Mery, przez cały czas robiła dobre miny do biesiadników, ale w duchu nie mogła już doczekać się końca imprezy. Milicyjny patrol przyszedł jej w sukurs, w końcu znalazł się pretekst, by rozgonić towarzystwo. Denerwowała się. Klemens był bardzo pijany i powinna już go zabrać do domu. Kątem oka obserwowała też poczynania Gerarda. Pił, pił, ale z umiarem i, miał pieczę nad wszystkim! To on umiejętnie załatwił sprawę z nasłanym patrolem milicji. On ucisza ciągle pijane towarzystwo, dogląda gości. Nie uszło też uwadze Mery i to, jak nachalnie zaczepiają go ekspedientki, i jak on opędza się od ich zalotnych umizgów. - Zwolnię je, zwolnię! Jak one się zachowują – kurwy! – bezwiednie wkurzyła się i... zaniepokoiła? Mery.

Byстрыm oczkom szefowej nie uszło uwadze i to, że...

I Gerard nieustannie wodzi za nią tymi swoimi ślepiami, tym swoim bezczelnym wzrokiem. Mery widzi, że te jego przenikliwe oczka zatrzymują się na niej coraz powtórzyściej, śmieiej, jakoś tak... – Kiedy tylko na niego spojrzy - Gerard, właśnie uśmiecha się tak... jakoś zawadiacko, pożądliwie?

- Bezczelny - do szefowej!

Była pewna, że Klemens poszedł do toalety. Czemu jednak tak długo nie wraca? A gdzie jest teraz Gerard? - Niby zajęta rozmową z jednym z emerytów, obserwuje, ma baczenie na wszystko... – Jest, jest Gerard! Idzie do niej, pochyla się nad nią, nad jej głową... Czuje, że dotyka ustami jej włosów... – niechący?

- Szefowo, szefa zmogło – szepcze jej do ucha - zaniósłem i położyłem go na górze, u mnie, śpi na tapczanie. Niech się prześpi. Pani też jest już zmęczona... Spróbuję to wszystko zakończyć, rozgonię towarzystwo – szepcze, a Mery czuje, że jego usta łaskoczą opuszki jej ucha... - Już chce zaprotestować, ale Gerard wyprostowuje się i klaszcząc w dłonie przekrzykuje harmider: - Kochani! Kochani! Koniec! Koniec! Rozchodzimy się! Jutro...Co ja mówię! Dzisiaj o ósmej, wszyscy w pracy! Koniec! Teraz koniec!

Posłuchali go nawet ostatni maruderzy.

Został Gerard i Mery. - Ja to wszystko posprzątam. Niech szefowa się nie trudi - nie pozwolę! Mery jednak nie słucha tego co mówi do niej pracownik, sięga po leżące na stole pozostawione talerze i półmiski. Nagle czuje na swoim nadgarstku silny uchwyt – nieruchomieje zdziwiona - zdziwiona czym? - Siłą uchwytu Gerarda, jego bezczelnością?

– Bo... usta Gerarda już są tak blisko jej ust...

Że, już nic, nic nie zależy od niej. Nic! – Niiiii! Niiie, n... – coraz ciszej, spolegliwiej wydobywają się słowa z zamykanych ustami Gerarda ust Mery i, Mery zaczyna czuć i, już wie, że to jej „nie” - coraz głośniej krzyczy; tak, taaak, taaaaak!

Kochają się. Jest w niej, usadowionej przez jego silne ręce na stole zastawionym brudnymi naczyniami, półmiskami, niedopitymi kieliszkami alkoholu. Przewracają się butelki, pobrzękują widelce i noże na talerzach, przewraca się

wazon z kwiatami, gdy jej nogi są na ramionach Gerarda, a on nie kończy, nie kończy...

Tak! Taak! Taaaak! Och! - to ona, Mery, szefowa, żona... - To jej rozdzierający jęk, krzyk rozbrzmiewa w pustej, dawno już wyciszzonej cukierni.

Dzień weselnego przyjęcia w Słodkim Niebie był dniem, od którego zaczęło się wszystko zmieniać w życiu Mery. Mery mężatka - z dnia na dzień staje się inną kobietą. Kobietą na wskroś dojrzałą, pewną siebie – kobietą niezależną od nikogo! Tak, teraz jej życie nabrało innego wymiaru! - Zawsze elegancka, zawsze od fryzjera, kosmetyczki. Mery Klamke - dama!

I, ta teraz tak pewna siebie Mery, nagle sama nie może zrozumieć, co się z nią dzieje... Nagle, już nie cieszy jej niedawno potwierdzone w urzędzie i w kościele małżeństwo. Nie cieszy jej nowo wybudowana willa z nowocześnie urządzonym wnętrzem...

- Tak. Mery już nie kocha męża! Mery już nie kocha Klemensa!

- To twoja wina! Twoja wina!

Siedzisz całymi dniami w tym swoim zasranym Cechu! W tej swojej pieprzonej Izbie! Nie przychodzisz na czas do domu! – Zamieszkaj tam! – W ogóle nie obchodzi cię cukiernia! Wszystko na mojej głowie! - krzyczy, awanturuje się coraz częściej Mery, gdy tylko Klemens pokarze się w domu. Ale..., gdy Klemens przebywa w domu dłużej - Mery również wkurwiona jest - i to jeszcze bardziej!

- Przylazł, już przylazł! Mamrocze pod nosem Mery i, widzi, że tak naprawdę - to woli, żeby Klemensa przy niej w ogóle nie było!

I... jak on się teraz zabiera za mnie w łóżku? - No i co z tobą? Co... - zakalcu! – kpi niby żartem, coraz częściej Mery z męża - a Klemens wtedy purpurowieje na twarzy, oczy mu zachodzą łzami, odwraca się od żony i próbuje zasnąć, zwinięty się w kłębek.

Tak, życie Mery nabiera innego wymiaru...

- Zameężna Mery jest kobietą dojrzałą, pewną siebie – kobietą niezależną od nikogo! W cukierni - prawdziwa szefowa! Zawsze elegancka, zawsze od fryzjera, kosmetyczki... - nawet wtedy, gdy grasuje po zapleczu - zachowuje klasę, dama!

Dużo wcześniej (czyżby przewidział wszystko kobiecy instynkt, przecież tak ładnie, ze smakiem, urządziła pokój Gerarda). – Teraz, korzystają z niego oboje - dwa, pięć, dziesięć razy w tygodniu. Mery jest spragniona, ciągle nienasycona. Już jest pewna, że właśnie takiej miłości, takiego mężczyzny pragnęła całe życie na jawie i w snach. - Teraz wie, że zawsze pragnęła mężczyzny mocnego, silnego - młodego mężczyzny! Przed takim, chce być na kolanach, chce być poniżana, bita, gwałcona...

Z dnia na dzień Mery dopiero przy Gerardzie odkrywa nieznane jej, nieujawnione do tej pory swoje seksualne skłonności, zachowania. - I nie potrafi, nie chce ich poskramiać! – Chce, by Gerard siłacz, pastwił się nad nią, znęcał - właśnie on - ten silny, ale całkowicie podwładny jej samiec! – Sama nie pamięta, kiedy z wojaży po Niemczech przemyciła wiele akcesorii...

Tak, Mery teraz wie, że od zawsze pragnęła takiego młodego mężczyzny! Gerard imponuje jej również profesjonalizmem w prowadzeniu cukierniczej produkcji. Mery podziwia jego artystyczny talent, mistrzostwo, zapał i zaangażowanie w to, co tworzy z cukierniczych mas. A, jego malarstwo! Gerard rozwija się przy niej - Mery staje się jego marszandem - zaopatruje Gerarda we wszystkie najpotrzebniejsze akcesoria, farby, płótna a nawet udaje się jej sprzedawać wśród elity jego obrazy.

- Gerard umie się odwdzięczać... Gerard namalował Mery akt. Obraz ma duży format i przedstawia ją w pozycji dającej wiele do myślenia. Nie tylko ułożenie ciała, ale i na twarzy Mery... - W jej oczach, w otwartych doznaniach ustach... – Tak, nawet laik zauważyłby owładniętą doznaniem namiętności, miłosną rozkosz Mery... - Tak, tak namalować mógł ją tylko ten - kto ją do takiego stanu doprowadzał, w takim miłosnym amoku ją oglądał! Obraz na razie stoi oparty o ścianę w pokoju Gerarda...

- Taki rzeczywisty, naturalny... – jakbyś malował mnie w trakcie... - Naprawdę, tak mnie w takich momentach postrzegasz? Taka jestem? – Mery nie może nadziwić się talentowi kochanka i, zatrwaja się... – Co też powie Klemens jak zobaczy ten obraz? - Musisz jak najszybciej podarować nam go oficjalnie... – Już ja go przekonam. Zawiśnie w sypialni.

W pokoju nad cukiernią Mery i Gerard.

Gerard ma na sobie... sutannę?! Pod szyją koloratkę? – Co oni wyprawiają? - Czy bawią się w teatr? Odgrywają jakieś role? Gerard, w sutannie założonej na gołe ciało teraz... Teraz, zadartej po pierś... – A, Mery... Mery z czerwonymi kokardkami wplecionymi w dwa kitki, w białej bluzeczce, plisowanej króciutkiej spódniczce... W tak króciutkiej, że nawet ociemniały zauważyłby, że nie ma pod nią majtek. Białe podkolanówki, balerynki... - Mery „dziewczynka” teraz klęczy przed księdzem... - A po chwili... ksiądz Mikołaj? Klemens? – Czy, Gerard?! – Mery już sama nie wie... Odwracana jest teraz tyłem...

Od pewnego czasu Mery coraz bardziej zaokrąglą się. Te jej dotychczas małe piersiątko... Nie dopina się spódniczka, apetyt za dwoje...

Dzisiaj nie muszą ukrywać się w warsztatowych pomieszczeniach cukierni ani nie muszą korzystać z tapczanu Gerarda w pokoju nad cukiernią. Dzisiaj, w sypialnianym małżeńskim łóżu pięknej willi, są tylko we dwoje i tylko dla siebie. I, szaleni, zapominając o bożym świecie powtarzają, powtarzają z lubością sceny, o które tak zawsze zabiega Mery. A, gdy nasyceni, zmęczeni, w końcu polegają na małżeńskim łóżu sypialnianej willi - między ich długimi oddechami padają pytania:

- No i co? I co my teraz z nim zrobimy? Co zrobimy? – to Mery jest bardziej niecierpliwa, i to ona dopytuje, zadaje te pytania – czekając na natychmiastową odpowiedź, na decyzję Gerarda.

- Nie, nie, to nie było pytanie skierowane do Gerarda o to - czy urodzić jego dziecko, czy nie. Ona, Mery... - Mery bardzo pragnie tego dziecka. - Ona Mery Klamke będzie na pewno miała to dziecko!

Pytania: Co z nim zrobimy? - powinien obawiać się Klemens - mąż Mery.

- I, tak się dzieje.

Klemens od pewnego czasu już przygląda się tej całej niewyobrażalnej dla niego scenie. Widzi, patrzy na to, co tych dwoje ludzi ze sobą wyprawia... Słysz

również pytanie Mery – i, już wie, wie, że to pytanie: Co, co z nim zrobimy? - dotyczy właśnie jego. Klemens mógłby skończyć to pytanie za tych dwoje:

Co zrobimy - z tym starym Klemensem?

Klemens Klamke miał być na walnym zebraniu Izby Rzemieślniczej. Musiał tam być. Przecież zasiadał w prezydium. – Mery widziała na własne oczy „Powiadomienie o Walnym Zebraniu Delegatów”, które odbędzie się we wtorek o godz. 9, 00. Z „Porządku Obrad” wyczytała, że jest to „walne wyborcze” nie tylko do Rady Izby, ale i... „...Kandydatura Klemensa Klamke, jest rekomendowana przez społeczność rzemieślniczą na Posła do Sejmu”. I, w dodatku, jak chwalił się sam Klemens, jest mocno, bardzo mocno poparta, przez Stronnictwo Demokratyczne - której to partyjnej organizacji, Klemens jest „Przewodniczącym Koła przy Izbie Rzemieślniczej”.

- Jestem pewniakiem! Śmiał się przy tym, gdy mawiał do Mery: Będiesz, będziesz miała męża posła. Będiesz żoną posła! Już od dłuższego czasu, wokół tego wydarzenia, było wiele galimatiasu, zarówno w ich domu, jak i w cukierni. Klemens od dawna, chodził podekscytowany, z głową w chmurach. – On, Klemens Klamke będzie Posłem!

Byłem u krawca, szyję sobie dwa garnitury... Pozowałem, robili mi całą zdjęciową sesję... - Ciekawe jak wyjdę na afiszach? Wywiady ze mną ukażą się w Dzienniku i w Głosie... Telewizja przyjeżdża do cukierni, będą kręcili reportaż... Mam spotkania z wyborcami...

- Szef będzie kandydował do Sejmu! Będzie Posłem!

- W cukierni wrzało. Z tego powodu lśniło tam też czystością, nawet większą niż w czasie, kiedy spodziewali się „niespodziewanej” kontroli z Sanepidu.

Klemens przygotowywał się do kampanii od dłuższego już czasu i też, od dawna wypływały z cukierni niemałe pieniądze na jego kampanię. - Robił wszystko tak, by akurat o tym, tylko o tym - Mery nie musiała wiedzieć za dużo - lepiej nie. Obiadki, zakrapiane kolacyjki z partyjnymi notablami, a nawet wartościowe prezenty dla tych - od których „dużo zależało” - pochłaniały czas i szmal Klemensa.

Uczył się też całymi dniami dziękczynnych przemówień:

„Za obdarzenie mojej skromnej osoby, tak wielkim zaufaniem...”

Dzisiejszej nocy przed walnym, z emocji nie mógł zasnąć. Wymknął się z sypialni od pochrapującej Mery i poszedł do salonu. Wziął kartkę z zapisanym przemówieniem i znowu, zaczął przyswajać sobie zdanie po zdaniu. – Bardzo pragnął, żeby ta jego przemowa wyglądała na spontaniczną, płynącą z głębi serca - on już, już poseł, musi być elokwentny. Z nerwów jednak, słowa i całe zdania uciekały gdzieś z jego pamięci – niczym przed myśliwym zające. Nawet zerkając, co chwilę do ściągę często się jękał, mylił.

O godzinie ósmej trzydzieści już czekała przed domem zamówiona taksówka. Klemens był tak przejęty i zdenerwowany, że wychodząc, nie wziął ściągę - zapomniana leżała na fotelu w salonie. Swoje przemówienie wygłosić miał zaraz po przerwie, w drugiej części obrad - a tu, w głowie mętlik, zamęt... – Ach, trudno! Najwyżej będę czytał. - Zdecydował, że po ściągę, do domu wyskoczy w przerwie na kawę.

– Już jest. Nie chce niepokoić Mery swoim powrotem. Już, kluczem otworzył drzwi willi, już jest w salonie, już ma ściągę w ręku, już chce chyłkiem wrócić do czekającej pod domem taksówki, ale...

Myśl o tym, że po zebraniu to on będzie dzisiaj fundatorem – przecież nie może zabraknąć mu pieniędzy! W sypialni... w metalowej kasie przytwierdzonej do dna szafy, za garniturami...

Rozpędzony, biegnie po schodach na górę do sypialni, gdy nagle, słyszy...

Słyszy wyraźny głos Mery:

- I co? I co teraz z nim zrobimy? Przecież on... On nie może dowiedzieć się o naszym związku, o naszym dziecku. Co z nim zrobimy? - Przecież go nie zabijemy...

Klemens już od dobrej chwili stoi oparty o framugę otwartych na oścież drzwi sypialni. Patrzy, widzi i słyszy...

Ale, ale już nie może się ruszyć. Tylko patrzy, na leżących w jego łóżku na pościeli Gerarda i Mery. Przygląda się zaabsorbowanej do cna, tylko sobą parze.

Oni jeszcze go nie widzą.

Klemens chce, chce krzyczeć, wyć, chce biec, by ich... zabić, ale nawet nie potrafi zacisnąć pięści... Z ust dziwnie wykrzywionych, cieknie ślina, oczy jak u

śniętej ryby gdzieś z za mgły spoglądają teraz w przestrzeń - hen, poza Mery i Gerarda.

- I co, i co my z nim zrobimy? - Przecież go nie zabijemy - jeszcze raz sypialnianą ciszę przeszywają słowa Mery.

Z gardła Klemensa wydobyło się jakby ciche skomlenie.

Usłyszeli, ale, dostrzegli go dopiero wtedy, gdy osuwał się po framudze drzwi na podłogę.

23

Karetka. Szpital. Diagnoza: udar, wylew...

Nadspodziewanie szybko - jak na udar, Klemens wylizuje się z choroby. Już po niecałych dwóch miesiącach przywozi go karetka ze szpitala do domu. Z trudem, bo z trudem, ale dzięki niekończącym się rehabilitacjom Klemens zaczyna się poruszać, chodzić. Co prawda pokracznie, ale chodzi i, powoli próbuje odzyskiwać mowę. Ciągłe jednak pozostaje z dziwnym grymasem twarzy wykrzywiającym mu usta. Nie potrafił też utrzymać oczu w jednej pozycji - wyglądają jakby każde z osobna pływało w wodzie.

- Jednak, jest wśród żywych!

Ze szpitala wrócił do domu w ciszę, której nie przerywa Mery. Cisza, od świtu do nocy unosi się po całej willi niczym szadź, niczym gęsta mgła na polach o świtanie. Klemens przez większość czasu, leży w łóżku, leży w ich sypialni sam. Mery śpi obok w gościnnym. Do willi przychodzą na zmianę codziennie pielęgniarki. Wymieniają kroplówki, robią zastrzyki, oporządzają Klemensa, dopilnowują razem z Mery, by na czas brał lekarstwa. Codziennie przychodzi też młody, sprawny rehabilitant i próbuje dokonywać cudów z mięśniami Klemensa.

Mery, mimo coraz bardziej uwypuklającego się brzucha - jak trzeba - zaciąga męża do łazienki, kąpie go w wannie, wyciera jego nagie zgrabiące niedołężne członki, a nawet, pomaga mu przy myciu zębów. Potem sadza męża na krześle w kuchni, karmi go, wycierając co chwilę jego wykrzywione usta, z których leci ślina, resztki pokarmu i wydobywają się jakieś niezrozumiałe dla nikogo, chrapliwe dźwięki.

Jednak, tak naprawdę nie znamy Klemensa! - Klemens zachowuje się w taki opisany sposób tylko przy domownikach. Gdy wie, że w domu nie ma nikogo - a bywało tak, bo Mery musi przecież ciągle dopilnowywać interesu w cukierni, lub ma inne sprawy niecierpiące zwłoki – wtedy, Klemens wstaje, próbuje chodzić, a nawet przytrzymując się łazienkowego grzejnika gimnastykuje się. Z jego mową też nie jest tak źle do końca. Z wyrażaniem myśli idzie mu dużo łatwiej - niż to uwidacznia przed siostrą, rehabilitantem a szczególnie, przed Mery. Zdecydowanie logiczniej, poprawniej potrafił swoje myśli wyartykułować wtedy, gdy bywa sam i stoi przed lustrem. Mimo paraliżującej go choroby, domyślał się, a nawet wiedział na pewno, że Mery dosyć często, niepostrzeżenie, wymyka się nocami z ich willi. Którejś z takich nocy, wiedząc, że jest sam w domu, zamiast chrapać smacznie po nasennym proszku, który próbowała zaaplikować mu Mery przed snem - ale on, cwaniak...

Wstał z ich małżeńskiego, dużego łóża, ubrał na piżamę spodnie i marynarkę wyjęte z szafy, wdział buty na gołe nogi i, niczym pijak, wypętl z domu, nawet nie zamykając za sobą drzwi willi. Powoli włókł się ulicami, aż w końcu dotarł do cukierni Słodkie Niebo. Już otwierał kłódki zabranym z domu pękiem kluczy – jego kluczy, które kiedyś zawsze nosił przy sobie, już z trudem rozsuwał kratę, gdy nagle, patrol milicji przemierzający Nyską śpiące nocą ulice Gdańska, dostrzegł człowieka krzątającego się przy drzwiach cukierni.

- Stać! - Co tu robicie obywatelu?! – wyskakując z Nyski, jeden z milicjantów, trzymając dłoń na przytwierdzonej do pasa pałce, podbiegł ku mężczyźnie, który niemrawo dłubał coś przy drzwiach cukierni.

- Naaazywaaaam się Keemens Klamk... Jestem właaaścicielem... Praaaacownicy zaraz przyjdą do praaacy na nocną zmianę... Wyszeeeeedłem taaaki, nie kompletnie ubrany, z domu oootworzyć im...

- A, pan Klemens Klamka – właściciel. - Dobra, dobra. Niech pan otwiera i wraca do domu, jeszcze się prześpi i... wytrzeźwieje. Poznałem pana, wisi pan wszędzie na plakatach. Życzę powodzenia! - Milicjant na powrót przemierzył jezdnię i Nyska odjechała.

Klemens otworzył jeszcze dwa pozostałe zamki w drzwiach, na powrót z trudem zasunął kratę i wtaczając się do środka, po omacku odnalazł kontakt i zapalił światło. Duży, ciężki żyrandol wiszący nad ladą, rozpromienił jaskrawością żarówek całą przestrzeń cukierni. Klemens początkowo mrużąc oczy odzwyczajone od takiej jasności, zaczął rozglądać się nieporadnie dookoła. Na tak znajomych mu, błękitnych ścianach wokół lady, wisiały jak zawsze duże olejne obrazy, na których po spienionych wodach żeglowały okręty namalowane przez Gerarda - jego prawą rękę, mistrza, Artystę. Próbował dłużej zatrzymać na nich wzrok, ale jego rozbiegane oczy, płasem powędrowały dalej na zawieszzone na ścianach dyplomy, na wyróżnienia i odznaczenia. Potem popłynęły po szklanej ladzie wypełnionej kolorami ciastek i tortów. Na odgradzającej szybie witrynę od cukierni, dojrzał przyklejony plakat. Jeszcze nikt go nie zdjął. Na afiszu on – Klemens Klamke – przesadnie odsztyftowany, w garniturze i krawacie, z medalem w klapie i z radosnym uśmiechem na ustach, pewnie przedstawiał się obywatelom:

„Klemensa Klamke - Nr 2 na liście Stronnictwa Demokratycznego. „Socjalistyczna Demokracja to przyszłość dla każdego z nas!” - sloganowe hasło wciąż jeszcze krzyczało z nieaktualnego już plakatu wyborczego.

Na jednej ze ścian, nad ladą, wisiał krzyż. Klemens uniósł w tamtą stronę głowę, próbując skupić na nim swoje rozbiegane oczy. W pierwszej chwili chciał uklęknąć, potem zawahał się, ale w końcu padając na kolana, z uniesionymi z trudem ku górze rękoma, zaczął wykrzykiwać słowa wybrzmiewające gdzieś aż z głębi trzewi:

- Boże, Boże, Jezu! - Gdzie jesteś? Gdzie?! – Boże. Jezu! - Dlaczego?! Co ja zrobiłem złego w życiu? Dlaczego tak mnie ukarałeś? - Czy dlatego, że kochałem Mery bardziej niż Ciebie? - Że była dla mnie wszystkim na świecie? - Wszystkim najświętszym na ziemi? Boże! - Ciebie nie ma! Nie ma! - Gdybyś istniał - nie mógłbyś być tak okrutny! - Najpierw mi ją dałeś - a teraz, w tak perfidny sposób pozwoliłeś mi ją odebrać? - Cóż ja złego ci uczyniłem? Powiedz! Powiedz! Odezwij się! – Ty, Miłosierny! Ty Wszechmogący! Nie ma już Mery. - Ciebie nie ma! Niema! - Nie ma już niczego. Nie ma! Nie ma!

Był w szoku, w amoku, już nie panował nad swoimi poczynaniami. - Nie wiedział, czy krzyczy, czy wyje, czy to tylko, jego obłądne myśli wypełniając mu głowę, rozsadzają mu mózg - jak nadmiar powietrza balon. Przenikliwa, straszliwa boleść wypełzała mu z czaszki i rozlewa się po całej cukierni...

Opierając się o ladę, wstał z trudem z kolan i zaczął zmierzać w kierunku zaplecza. Po drodze zapalał światła we wszystkich pomieszczeniach. Oślepiła go jarzeniowa mleczna jasność, ale on, mrużąc oczy włókł się dalej. Dowłókł się do pomieszczenia, w którym wiedział, że zawsze czeka na swój udział w produkcji bańka ze spirytusem. Była. Trochę siłował się z jej otwarciem, nim ją przechylił i zaczął wylewać całą zawartość na podłogę. Opróżnił bańkę do ostatniej kropli. Jego buty rozpryskiwały alkohol po całej powierzchni, gdy przechodził do drugiej szafy pełnej likierów, rumów, syropów i koniaków. Z wściekłością i siłą zdrowego człowieka, z szyderczym uśmiechem na wykrzywionych ustach, zaczął wszystko strącać z półek, na już mokrą od spirytusu kafelkową posadzkę - którą jeszcze kiedyś, kiedyś układali niemieccy rzemieślnicy. Potem podszedł do każdej z lodówek - otwiera je, i po kolei wygarnia z nich zawartości. Na podłogę z hukiem wylatują koncentraty i ekstrakty, słoiki i puszki, kafle masła i butle z olejami. Kakao i kawa, figi i rodzynki. Dostrzegł jak z rozbitej butelki rozmazuje się po podłodze Ajerkoniak, łącząc swój żółty kolor z innymi kolorami likierów.

Rozrzucał, deptał wściekle wszystko co mu wpadło pod nogi rozrzucał po całym pomieszczeniu - płacząc, wyjąc przy tym na całą cukiernię. Na całą cukiernię roznosiły się też zapachy rozpływających się po posadzce porozbijanych koniaków, likierów i kremów. Płynęły, rozpływały się po podłodze mazią - niczym wulkaniczna lawa.

Mery... - gdyby Mery nie spała tak smacznie po seksualnych doznaniach z Gerardem - w zrobionym dla Gerarda (teraz i dla niej) słodkim gniazdku w kamienicy na pierwszym piętrze nad cukiernią... - Zapewne też i ona wyczułaby zapachy nie tylko budyniowego kremu.

Klemens opierając się o ścianę, z uwagą, żeby nie pośliznąć się na rozpyływającej się mazi, wraca z powrotem do sklepu. Po drodze sięga po zapałki, które od wieków leżą zawsze w tym samym miejscu - na półce przy piecu...

Wie też, że nie musi szukać... Wie, gdzie zawsze leży gruby motek sznurka... Obchodzi ladę dookoła, obwiązując ją luźno, ale wielokrotnie, sznurkiem z motka. Potem zdejmuję sznurek z lady i splata przemyślnie trzęsącymi się rękoma w jeden warkocz. Idzie po jedno z krzeseł stojących obok stolika, stawia je delikatnie na szklanej ladzie. Po chwili jednak rozmyśla się, krzesło zdejmuję i rozmazując butami maziste ciecze, wraca na zaplecze. Przynosi stamtąd dwie duże blachy na ciasta, układa je na ladzie tak, by opierając się na drewnianych krawędziach przykryły szkło. Teraz ponownie stawia krzesło na ladzie, ale już na blachach. Dostawia drugie krzesło i trzymając się oparcia, mozolnie, nieporadnie, w końcu wdrapuje się na ladę, potem na stojące na niej krzesło. Upleciony grubo sznur ledwie przeciska przez hak podtrzymujący żyrandol. Trochę grzebie się z zawiązaniem pętli, przymierza ją do swojej głowy... Dobrze, dobrze... – z kłębiących się, po jego głowie myśli – te przebija się jeszcze chrapliwym dźwiękiem.

Zważając na to by nie spaść, ostrożnie ponownie gramoli się z krzesła na ladę, potem z lady, na drugie krzesło, aż w końcu staje na podłodze. Idzie w kierunku zaplecza, gdzie rozlane alkohole, oleje, tłuszcze, kremy powoli, przez szparę wewnętrznych drzwi, przedostają się na klatkę schodową. Wyjmuje z kieszeni zapałki i pocierając jedną - zapala resztę znajdującą się w pudełku. Zapałki buchają płomieniem parząc mu rękę. Klemens odrzuca palące się pudełko za siebie w spirytusową maź zabarwioną kolorami likierów; Amaretto, Wiśniowym, Brzoskwiniowym... Zabarwioną rumami; Jamajka, Senioritta, Kubańskim... Zabarwioną kremami, zabarwioną tłuszczami...

Klemens, nieporadnie uciekając płomieniom, zmierza na powrót do sklepu, zamka drzwi odgradzające sklep od zaplecza i...

Pozostawionego za niemi piekła.

Powoli, delikatnie wchodzi z powrotem na krzesło, potem na ladę, potem na stojące na niej przygotowane drugie krzesło. Zakłada sobie pętlę na szyję i obraca głowę w kierunku, skąd już przedostają się kłęby dymu i bucha gorąc. Już widzi jak

języki płomieni zachłannie pożerają drzwi i... Zbliżają się do lady pełnej ciast.
Dociska mocniej pętlę na szyi...

Chyba, samo krzesło wiedziało, co ma teraz uczynić, by...

Klemens Klamke, mistrz cukierniczy, przyszły poseł, mąż najukochańszej żony Mery mógł...

Mógł żeglować pięknym jachtem, po błękitnych, spienionych wodach namalowanych przez jego najlepszego pracownika, artystę Gerarda Szwarca.

Od tego wydarzenia minęło przeszło trzydzieści lat. Dopiero teraz spróbowałem je opisać. Pamięć jest ulotna. Miasto idące wciąż dalej i dalej już dawno wchłonęło stojącą u jego wylotu, starą przedwojenną poniemiecką kamienicę, odbudowaną, wyremontowaną po ogromnym pożarze. Już nie ma w niej cukierni. Od czasu do czasu odrestaurowany lokal na parterze wynajmowany jest na przeróżne działalności. Był tam sklep spożywczy, potem chemiczny, potem apteka, aż w końcu, ktoś uruchomił sklep z używaną odzieżą. Ten jest chyba najdłużej – może funkcjonuje do dzisiaj?

Kiedy wybuchł pożar w cukierni – zajęła się również klatka schodowa. Pierwszymi pogorzelcami wyskakującymi przez okno z pierwszego piętra byli... Mery i Gerard. Gerard po skomplikowanym złamaniu kości udowej, został chodzącym kaleką już na całe życie. Mery tylko... poroniła.

Mery sprzedała willę i wszystko co mogła spieniężyć (kamienica już dawno przeszła na własność ludowego państwa) i, wykorzystując „przypadkowo” odnalezione niemieckie pochodzenie, wyjechała przy pierwszej nadarzającej się okazji do NRF. Słuchy chodziły, że wyszła tam za mąż, za młodszego od siebie sierżanta niemieckiej policji. Żyli ze sobą bardzo krótko, bo sierżant wracając ze służby, przypadkowo natknął się na złodzieja kradnącego auto i... Został ugodzony śmiertelnie nożem. Okazało się, że... Złodziejem, bandytą kradnącym Mercedesa był Polak... Marcin Friedtke.

Od tego czasu słuch o Mery – zaginął.

– Zaginął?

Marynarze, którzy zawijali do Hamburga i odwiedzali znaną dzielnicę uciech St. Pauli, polecali sobie klub, w którym podobno prym wiodła Polka o imieniu Mery...

- „Dziewczynka” z wstążeczkami wplecionymi w dwa warkoczyki, w białej bluzeczce i granatowej króciutkiej spódniczce, w białych podkolanówkach i baletkach jest najlepsza! - Głosiły wieści przekazywane w zaufaniu z ust do ust przez mężczyzn.

- Czy chodziło o Marię Klamke - z domu Friedtke?

Natomiast Gerarda Szwarca najczęściej widywano w podrzędnych pijalniach piwa i dworcowych barach. To właśnie on przed laty w którymś z barów opowiedział mi historię cukierni „Słodkie Niebo” – poniekąd swoją historię.

W tamtych czasach lubiłem się wtapiać w gęstą atmosferę peerelowskich knajp, barów i pijalni piwa. To tam, stojąc przy barze w gęszczy degeneratów, kiziorów, obdartusów „piłem to piwo” z nimi, z tymi typami spod ciemnej gwiazdy. To tam, wyławiałem z papierosowego dymu, z gęstej mieszaniny zapachów skisłego chmielu i moczu, z woni brudnych ciał, z gwaru i bełkotu, błyskotliwe dialogi, cięte riposty, niewybredne dowcipy, przeróżne opowieści o tragicznych ludzkich losach. Ileż tam wraz z piwem pieniało się literatury!

- ...Aaaaaaa jadłeś takie ciastko, które nazywa się Merylanka?

- Nie.

- To... Bo, to ja wymyśliłem nowy rodzaj, nowe ciastko i nazwałem je Merylanka! - Rozumiesz...? Merylanka... - Bo, jak ci mówiłem, jestem cukiernikiem. Kiedyś pracowałem w najlepszych cukierniach. - Ja! Ja byłem najlepszy - rooozuuujesz? - No, postaw jeszcze jedno piwko... Rozumiesz, najlepszy. - Jestem mistrzem cukiernictwa. Merylanka! - tak nazwałem ciastko. - Merylanka... - westchnął ze smutkiem i mówił z zapałem dalej: Szukaj takiego ciastka w gdańskich cukierniach, szukaj. - Pytaj o Merylanke - zobaczysz, zobaczysz co to jest za ciastko! - Zobaczysz - niebo w gębie! No... To jeszcze po jednym piwku... - postawisz?

Szukałem, szukałem ciastka o nazwie Meylanka po całym Trójmieście. Odnalazłem w końcu cukiernię, gdzie oprócz wielu ciast, ciastek i tortów sprzedawano „Merylanki”. - Zjadłem na miejscu dwie i... poprosiłem o dziesięć na wynos.

Warto było. Rzeczywiście niebo w gębie! - Słodkie Niebo!

Gdynia październik 2018r.

Poprawiona już 100 razy – tylko do wydania!

.....

NOTKA O MNIE

Kim ty człowiecze jesteś, że próbujesz zawracać dajmy na to głowę np. EMPIKOWI?

Nazywam się Janusz Wiśniewski i niestety, nie wystrzelono mnie w kosmos, ani nie jestem tym znanym reżyserem, ani też Januszem Leonem Wiśniewskim pisarzem, któremu bywa, że płaczę się koło Jego jak rzesz znanego literackiego nazwiska - mimo, że próbowałem obronić się przed łączeniem naszych osobowości poprzez nadanie sobie pseudonimu „KRAWIEC”. Pseudonim wziął się od mojego zawodu, który wykonywałem przez 61 lat w Gdyni na Starowiejskiej, w Pracowni Krawieckiej – nim, zacząłem pisać. Zadebiutowałem dwu tomową powieścią ŻYCIE SKROJONE NA MIARĘ (wyd. BLISKIE) i dalszym jej ciągiem pt. ŻYCIE OD POTRZEWKI (Wyd. Pracownia Krawiecka). Tak, podobnie osiągnąłem sukces. „Życie...” zostało wyróżnione w Ogólnopolskim Konkursie im. Władysława Reymonta, było „Książką miesiąca maja”, któregoś tam roku, wytypował i promował je magazyn KSIĄŻKI i BIBLIOTEKA NARODOWA. Radio Gdańsk nagrało je na audiobook. Czytał je w pr 1 pr. Globisz. Chwalili recenzenci, tacy jak Leszek Bugajski (dwie str. w Newsweek), Marta Sawicka „Wprost”, Marcin Wilk krytyk literacki, czy Janusz Majewski reżyser, który napisał; „Życie...” mogłoby być świetnym, krwistym materiałem na scenariusz filmu... I, co się dzisiaj rzadko zdarza - jak na polskie warunki dziesięciotysięczne nakłady.

- No, przerywam chwalenie się tym, co było i, spróbuję coś o tym, co zamierzam. Po „Życiu” wyleciały z pod mojej głowy?, ręki? Trzy następne powieści „FRAK w pierwszym pokoleniu”, MERYLANKA i zbiór opowiadań pt. PAPIERÓWKA, które to wydało w e, i a-bookach – (nawet nie siląc się na ich korektę) jedno z wydawnictw, a ja, chciałbym, jeszcze za swojego życia ujrzeć, choć jeszcze jedną z moich książek w formie papierowej, dlatego...

Przesyłam Wam na początek, o ile będzie i cdn. moją MERYLANKĘ – historię, która ma swój początek w przedwojennym Gdańsku i ciągnie się przez cały PRL. Czy jest ona na tyle dobra literacko, że zechcecie ją wydać? - Może doczekam się, chociaż odpowiedzi...

Janusz Krawiec Wiśniewski.

.